



ALEKSANDER POTIOMKIN

BIURKO

*Szukam dojścia do Centrobanku.
Interesuje mnie naczelnik departamentu regulacji
walut, pani Iwaszczenko. Sęk w tym, że Iwaszczenko
bierze pieniądze wyłącznie od swoich znajomych.
Może ma pan do niej dojście?*



Poradnia K

Aleksander Potiomkin

BIURKO

Powieść

Arkadij Lwowicz Dulczykow przetarł brwi watką nasączoną olejem rycynowym, przypudrował na szyi siniak niewiadomego pochodzenia, a w rzadkie, nieokreślonej barwy włosy wtarł angielską pomadę. Spojrzał w lustro, zmrużył oczy i nadawszy policzki włożył swój codzienny mundur z generalską gwiazdą doradcy państwowego trzeciego stopnia, po czym ze służbowej garderoby przeszedł do gabinetu, gdzie w podniosłym nastroju zasiadł na solidnym służbowym fotelu za biurkiem naczelnika jednego z oddziałów bardzo ważnego ministerstwa. Jednocześnie z szacunkiem zerknąwszy na portret Głowy Państwa, stojący na prawo od niego, na dębowej konsoli, obrzucił przelotnym spojrzeniem świeży bukiet kwiatów w wazonie i rozkazującym tonem naczelnika-biurokraty powiedział:

- Tak, ehe, ehe, teraz możesz rozpocząć dzień pracy. Twardą ręką rządź z za tego biurka. Żadnej pobłażliwości. Dla nikogo!

To zdanie, rzucone głośno do siebie, wypowiedział tonem tak apodyktycznym, że odnosiło się wrażenie, jakby Dulczykow lubił rozkazywać nie tylko podwładnym, czy zaproszonym na służbowy dywanik, ale i sobie samemu. Arkadij Lwowicz rozłożył na biurku gazetę z artykułem o przedłużeniu aresztu znanego wszystkim pana X, po czym ułożył ją na brzegu blatu, rozmyślnie tak, żeby rzucała się w oczy. Z jakimś tajnym zamysłem objął rękoma swe dębowe biurko, jakby chcąc się przekonać, na ile mocno stoi ta podstawa jego życia, po czym ucałował je. Nie tak po prostu, formalnie, ale z uczuciem, wprost namiętnie. Po czym otworzył zwilgotniałe oczy, przetarł je chusteczką marki „Tempo” i stał się na powrót przestrzegającym prawa urzędnikiem. Podniósł słuchawkę telefonu łączącego go z sekretarką i ostro, krótko rzucił:

- Lubow Leonidowno, zaczynam urzędowanie.

- A mogłabym na sekundę?

- Ehe, ehe, no chodź, chodź....

Do gabinetu weszła wysoka blondynka. Mogła mieć na oko nie więcej niż dwadzieścia trzy lata. W krótkiej dżinsowej spódnicy i obcisłej trykotowej bluzeczce koloru lila. Wydatne wiśniowe usta były zaciśnięte, ale ogromne zielone oczy wpatrywały się w urzędnika Dulczykowa.

Podeszła do niego bardzo blisko. Lekko dotykając opuszkami palców jego skroni, piersiami ocierała się o ramię naczelnika.

- Może najpierw... trochę relaksu, .Arkadiju Lwowiczu? - zapytała omdlewającym głosem.

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, myśląc o czymś zupełnie innym. W poczekalni jako pierwszy oczekiwał na przyjęcie Machachoryn. To miała być niezwykle ważna rozmowa. Następny był Wadbolski, a potem kolejno: Mamiedow, Kuziak, Guś i Trieszczałow.

Potem obiad, który często jadał w towarzystwie szefa kancelarii ministra Piotrem Piotrowiczem Sapiehą w restauracyjce na Czystych Prudach. Na porę poobiednią zapisani byli Kleszczywcew i Helena Dmitriewna Kurakina.

- *Jak zwykle, od rana same ciężkie sprawy, a i o tych, co potem, nie należy zapominać. Ich kapitał przyjemnie szeleści w urzędniczych uszach* - mówił do siebie w myślach dobrodusznie, bez najmniejszej złośliwości. W tym samym czasie lewa dłoń naczelnika wsunęła się pod spódnicę sekretarki. W zamyśleniu, z niezmaconym spokojem, zaczął podszczypywać pupę blondynki Popyszewej. Robił to całkiem nie erotycznie, jakby dla gimnastyki, ugniatając pośladki z pewnym wysiłkiem. Miało się wrażenie, że czyni to zupełnie bezwiednie. Jakby to całe dziwactwo działało się bez jego świadomego udziału, zupełnie poza nim.

Szczególnie trzeba potrząsnąć Machachorynem. A i resztą towarzystwa. Zarabiają furę pieniędzy. A jak oszukują państwo, jak poniżają mateczkę Rosję! Wewnętrzny monolog generała był patetycznie patriotyczny.

- Wiaczesław Siemionow przyszedł? - zapytał.

- Tak! Czeka na interesantów - rzuciła przywołana do porządku Popyszewa.

- Ten to ci mocarz wyższego szczebla. No, teraz, idź, Lubasza, a jak Kuziakini wyjdzie, przyniesiesz mi konfiturę z truskawek. Czekałym powiesz, że rozmawiam przez telefon z przedstawicielem władzy. Zadowolona, he, he? Telefony odbieraj i mów że jestem na naradzie. Ale zapisuj, kto dzwonił, dobrze?

Uśmiechnęła się, pokazała mu czubek języka, wyszeptala „yes”, ścisnęła za łokieć i wyszła z gabinetu.

- *No i dobrze, a co to za różnica?* - pomyślała młoda kobieta.

- Jej tylko „to” w głowie – mruknął do siebie urzędnik. - Z kobiety biurokraty nijak nie zrobisz. Ich pomyślunek złamanego grosza nie wart. Tylko jedno im w głowie. Zadowolony ze swoich przemyśleń Arkadij Dulczykow włączył wykrywacz podsłuchu, ściągnął groźnie brwi, skrzywił kwaśno, na czubek nosa włożył okulary i przyjąwszy pozę zmęczonego pracującym człowieka czynu czekał na pierwszego interesanta.

Do gabinetu wszedł okrągłutki, niewysoki człowieczek, lat około sześćdziesięciu. O wydatnym nosie ze śladami stanu zapalnego i wyraźnie zaczerwieniony na chrapkach, przyszczami na brodzie i niewielkich okrągłych, czarnych oczkach. Wiśniowe pantofle, kremowe spodnie i uprzejmy uśmiech jakoś od razu spięły urzędnika państwowego trzeciego stopnia.

- No, witaj, najdroższy Arkadiju Lwowiczu. Przekazuję najlepsze życzenia od wszystkich członków Świętego Synodu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Pan prawosławny? No, widzę, że wierzący. Tacy ludzie są potrzebni wierze chrześcijańskiej.

Stołeczny biurokrata gotów był przyznać, że owszem, jest ochrzczony, lecz gość wyraźnie się spieszył. Nie czekając na odpowiedź, skwapliwie ciągnął:

- Jest wielu prawosławnych, którzy ofiarują pieniądze na odbudowę zburzonych świątyń i finansowej niezależności prawosławia. Dosłownie na dniach zmarła znamienita osoba, niejaki Amieliakin. Zapisal cerkwi pieniądze, kosztowności i obrazy. Ale są też osoby nie dysponujące kapitałem, lecz ofiarowujące dobre uczynki. Niedawno...

- No dobrze – przerwał mu Dulczykow, udając ziewanie. – Nadal jednak nijak nie rozumiem, w czym rzecz? Czego pan ode mnie oczekuje, ehe, ehe, dobry człowieku?

- Pozwoli pan, że usiądę?

- Tak.

- Dzwonili do pana z góry w sprawie mojej wizyty?
 - Z jakiej góry?
 - Najwyższej.
 - Nie pamiętam. Kto niby miałby dzwonić? Metropolita jakiś?
 - Ależ skąd? Proszę mi wierzyć: wyżej, znacznie wyżej – z samozadowoleniem przerwał naczelnikowi gość.
 - Jak pana nazwisko?
 - Pan mnie nie poznaje?!
 - Niestety...
 - Ależ ja jestem Siemion Siemionowicz Machachoryn! Z fabryki sofrińskiej patriarchatu moskiewskiego. Dyrektor i prawa ręka samego... No cóż, czuję się urażony. Nie poznać Machachoryna? Jestem przecież przyjacielem pańskiego szefa.
 - Naczelnika departamentu?
 - Ministra!
 - Ministra? Nikt mi nic nie mówił - skłamał urzędnik. - Ale, ehe, ehe, w czym problem? Czym mogę służyć tak sympatycznej osobie?
- Machachoryn zerknął na tytuł w gazecie, odwrócił ją do siebie, wytrzeszczył oczy i ze złością rzucił:
- Słabo się dzielił. Takich ludzi w Rosji się nie szanuje. Wczoraj jeszcze Iksiński, dziś tylko Piszczyk. Zero, figa z makiem. Prezydentem mu się zachciało być. Tak, prezydentem. A dzielić się nie nauczył... No, ale wróćmy do mojego pytania - uśmiechnął się ponownie Siemion Siemionowicz, na tyle radośnie, że wywołał tym niezadowolenie urzędnika.
 - *Sam by kopiejki umierającemu nie dał, a X-owi przygania* - pomyślał Dulczykow. - *Tak się nie robi, to nie po rosyjsku!*
 - Oczywiście wie pan, z jakim ogromnym trudem odbudowuje się rosyjska cerkiew? Ile świątyń zburzono w poprzednim reżimie, ilu duchownych zamęczono na torturach. Ale skąd wziąć pieniądze na odbudowę świątyń? A przecież każdego dnia trzeba produkować to, co niezbędne dla życia cerkwi: świąteczne kalendarze, świece, ikony, modlitewniki, kadzidło, kadzielnice, krzyżyki i tak dalej. I w tym problem, Arkadiju Lwowiczu. Kapitału ogromnego potrzeba! W obecnych czasach tak szerokie spektrum produkcji wymaga przedsiębiorczości i powiązań z dobroczyńcami. A wszystko to po to, żeby w duszach Rosjan odrodzić ducha Chrystusowego...
- Odrodzić? To on, ten duch, kiedykolwiek w duszach Rosjan był? Nie pamiętam. No, ale niech dalej brnie. Im więcej pięknych słów, tym bliżej w końcu sedna. Najwyraźniej ten typek to kombinator wyższej kategorii. A ty, Arkadiju Lwowiczu, myśl o czym innym. O dochodach. Prawdziwych dochodach. Solidnym kapitale, a nie jakichś tam drobiazgach* - rozmyślał naczelnik.
- Ostatnim razem cerkiew prosiła szanowną władzę o zwolnienie z podatku od dochodów. I Bóg dopomógł, poprzedni naczelnik departamentu, pan Nawrajski, zdjął z nas VAT. Odżyliśmy! Znicze i świece, kadzidło i mosiężne świeczniki rozświetliły świątynie. Słowo Boże rozbrzmiało z nową siłą.
 - *Tego pijaka dawno już zdjęli* - przypomniał sobie generał.
 - Ale teraz mamy nowy kłopot. Nie daje on świętem synodowi i wszystkim prawosławnym chrześcijanom wytchnienia i spokoju ducha...

Tu Siemion Siemionowicz zniżył głos i konspiracyjnie wyszeptał:

- Sami pozbawiamy się najważniejszego symbolu i znaku naszej wiary – krzyża.

W tym miejscu Machachoryn zatrzymał się i wpił przenikliwym spojrzeniem w pozbawione wyrazu oczy naczelnika.

- Jak to? Nie daj Bóg! - prawie wykrzyknął Dulczykow. – Jak, wiara bez krzyża, znaku zmartwychwstania? Co, nasi dygnitarze, ehe, ehe, podatek czy akcyzę na produkcję krzyży wprowadzili? Jeśli tak, to trzeba działać. Niech wasz główny z pismem do prezydenta się zwróci. Co za porządki zaprowadza ten M-ref? Podatek na krzyż! Jestem kategorycznie przeciw. Gotów jestem publicznie wystąpić na zebraniu wydziału: w tym przepisie przecież nie ma żadnego narodowego interesu. Absolutnie żadnego! Choć... może zresztą jakaś racja w tym i jest. Oto w dawnych czasach krzyże robiono z tkaniny, skóry, z rybiej łuski. Dzisiaj można dwie zapałki nitką związać, zmajstrować krzyż z młodej brzoźki, ulepić z gliny, z drutu wygiąć, tatuaż sadzą zrobić. Tatuaż teraz, ehe, ehe, w modzie. Gotów jestem służyć radą. Czy też może oczekuje pan czegoś innego? Czy napisał pan już pismo do naszego wydziału albo do mnie osobiście? Proszę je zostawić, drogi panie Machachoryn, będziemy się, ehe, ehe, zastanawiać. Żeby zacząć działać, my, brać urzędnicza, musimy mieć najpierw wniosek na piśmie.

- Oj, nie tak prędko, szanowny. Tu najpierw trzeba się zastanowić, co i jak pisać. To nie prosta sprawa. Najpierw trzeba decyzji, a potem można pisać. Czyż nie mam racji?

- Hm, czyżbym źle pana zrozumiał? O jakiej, ehe, ehe, decyzji pan mówi?

- No, trzeba zdjąć akcyzę. To tak dla waszej wiadomości - tu uśmiech zniknął z ust Siemiona Siemionowicza, a oczy wpatrzyły się wyczekująco w naczelnika.

- Z czego niby zdjąć akcyzę? Krzyży nie produkuje się przecież z materiałów objętych akcyzą. Ołów, miedź, aluminium... Aha, rozumiem... Chce pan mi powiedzieć, żeby, ehe, ehe, akcyzę zdjąć ze złota? Ze srebra? – jakby z lękiem, głucho zapytał Arkadij Lwowicz. A w duchu radośnie pomyślał: „Ależ to sobie wymyślił cwaniaczek pierwszej wody! No, cóż, Dulczykow, nie wypuść go tylko. Czuję w tym niezły zysk”.

- Tak! Właśnie tak, drogi generale.

- Taaak... Ale jak to, ehe, ehe, przeprowadzić? Złote krzyże robi przecież nie tylko fabryka cerkwi prawosławnej. Wszystkie zakłady jubilerskie kraju tym się zajmują. Każdego roku idzie na to dziesięć ton złota i dwadzieścia srebra. Jeżeli średni krzyżyk waży siedem gramów – to mamy milion pięćset tysięcy złotych i trzy miliony srebrnych krzyżyków rocznie. Niech cena jednego będzie tysiąc rubli albo trzydzieści dolarów. Sama produkcja złotych krzyżyków da obrót rzędu czterdziestu pięciu milionów dolarów, a akcyza, ehe, ehe, wyniesie około trzech milionów rocznie. I mamy to nagle znieść? Kto pozwoli tak bezpardonowo okradać kraj?

- Dogadajmy się jakoś, najmądrzejszy nasz Arkadiju Lwowiczu. Co pan proponuje?

- Przed mną leży ustawa, nad czym tu myśleć? Pan jest w państwowym urzędzie, pięćset metrów od Kremla.

- Mam pewną propozycję - znowu uśmiechnął się Machachoryn. Ale tak fałszywie, że naczelnikowi aż ciarki po plecach przeszły. – Mogę ją panu przedstawić?

- Niech pan mówi!

- Nikt nas nie słyszy?

- Poza panem i mną nikt.

- Chodzi o pięć ton złota.
- Taak?
- Trzeba by zwolnić z akcyzy pięć ton złota.
- Diabli mnie zaraz wezmą, ehe, ehe. Chce pan zwinąć dwa miliony dolarów z budżetu?
- Zwinąć? Cerkiew prosi pana o pomoc, żeby nie wywoływać u wierzących uczucia nienawiści do władzy. I tak przecież, teraz szczególnie, diabeł po Rosji hula.
- Jestem urzędnikiem. Problemy wierzących interesantów, ehe, ehe, mnie nie interesują. Moją Biblią są przepisy.
- Dajemy pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dziesięć ton złota, one muszą być wolne od akcyzy.
- Dopiero co pan mówił o pięciu. Ale mnie to w ogóle nie interesuje. *To naprawdę cwaniak pierwszej wody. Gra jak aktor z Małej Bronnej. Wartość oferty zaniża, jak detalista u hurtowników* - pomyślał urzędnik.
- Nie pan przecież zdejmuję akcyzę. Pan przygotowuje jedynie pakiet dokumentów dla rządu, najmądrzejszy Arkadiju Lwowiczu. Tam czekają nas znacznie większe koszty.
- Mój miły Siemionie Siemionowiczu. Pańska propozycja mnie nie interesuje. Ona mi źle pachnie, a sprawy religii mnie zajmują zaledwie dwa razy w roku: na Boże Narodzenie i Wielkanoc, kiedy przypomina mi się, że istnieje cerkiew. Pan chce mnie nakłonić do złamania prawa w imię religijnych priorytetów. Złoty krzyż, złoty łańcuszek i co tam jeszcze? Bo niby to potrzebne dobremu chrześcijaninowi? Panu potrzebna jest, ehe, ehe, modlitwa, włosienica, i bicz. A pan o złotych krzyżach marzy. Dusze pan chce ratować, czy korumpować prawosławnych pątników?
- Nasza fabryczka, drogi generale, to obiekt wewnętrznego gospodarstwa cerkiewnego. Cerkiew jest oddzielona od państwa, co pozwala jej prowadzić produkcję na własne potrzeby. Złoto to dla nas jedynie surowiec służący upiększeniu twardego życia pielgrzymów, czy też ozdobie świątyń. Po co wiernym, trzymającym się tradycji, po sklepach jubilerskich się pałętać? Niech lepiej atrybuty wiary u nas kupują. Taniej! Bez akcyzy! Wszystko poświęcone przez ojców duchownych. Przecież religii potrzebny jest kapitał, drogi Arkadiju Lwowiczu. Jak prawosławne sobory dźwigać z ruin? Z jakich źródeł finansować konserwatorów, kamieniarzy, malarzy ikon?
- Ehe, ehe, pieniądze potrzebne są wszystkim. „Geld, Geld, Geld, ruft die ganze Welt” - zamyślony i jakby rozmarzony powiedział naczelnik.
- No więc, pomyślałem, że jeśli osobiście zacznie pan prowadzić ten humanitarny projekt, to my możemy zapłacić panu sto tysięcy dolarów. W jednej transzy. Z wyprzedzeniem! Na dowolny adres. Choćby gotówką! Jak pan chce – w akcjach, czy precjozami? I jakimi? Wszystko będzie jak trzeba. Lubię płacić za pomoc w rozwoju przedsiębiorstwa, tym bardziej tak ważnego. Zgoda? Zaczynamy współpracę? Niech pan powie „tak”, a natychmiast zostanie wypłacona premia.
- Oj, Siemionie Siemionowiczu, mnie niełatwo skusić. To próżny trud. Niech pan przestanie! Swego biurka trzymam się własnymi siłami. Jestem z krwi i kości sługą państwa. Wszystko, co szkodzi ojczyźnie, ciężkim bólem odzywa się w moim sercu. Niech pan działa, ale proszę mnie nie wciąga do tej gry, ehe, ehe. Ministerstwo pańskie jest potężne. Jeśli będzie decyzja z góry, nie będę czynił trudności. Bez problemu dam swoją zgodę. Proszę o tym pomyśleć, nie ma

przecież pośpiechu.

Machachoryn na sekundę faktycznie się zamyślił: - *Pójdę wyżej, zażądają więcej, a sprawę i tak przekażą Dulczykowi. I tak trzeba będzie zapłacić Arkadijowi Lwowiczowi. Pójdę jeszcze szczebel wyżej – wezmą trzydzieści procent od różnicy w cenie, zrzucą wszystko bez podpisu na niższy szczebel, tam znów ze mnie zedrą, a robotę zrzucą na Dulczykowa. Nie, już lepiej to załatwić z Arkadijem Lwowiczem. On jest tu kluczową osobą. Ciekawe, na jakiej sumie się złamie? Powiem mu sto pięćdziesiąt.*

- A nad czym tu się zastanawiać? Lepiej z panem to załatwić, niż do ministerskich drzwi się dobijać. To przecież nie wycieczka - roześmiał się Siemion Siemionowicz. - Daję sto pięćdziesiąt tysięcy. Zaczynamy działać, generale, ręka w rękę. Czyżby pan sam chciał mnie posłać wyżej? Żeby premia dostała się komu innemu, komuś przy innym biurku?

- Nie przekonał mnie pan, mój drogi. W poczekalni tłum już czeka. Może pan skargę złożyć na mnie, że państwowy urzędnik trzeciego stopnia Dulczyk bezdusznie odniósł się do prośby Świętego Synodu, Rosyjskiej Cerkwii Prawosławnej, dyrektora fabryki i tak dalej... Nawet zdjęć mnie ze stanowiska, oderwać od mojego biurka, choć to moja życiowa podpora. Bez tego biurka jestem jak bez rodziny, bez ojczyzny... Tak się sprawy mają. Rad byłem z panem pożartować, Siemionie Siemionowiczu. Jeśli będzie pan miał jakieś pytania...

- Jeszcze minutkę, proszę się powstrzymać. Nie powiedziałem ostatniego słowa. No, główny argument zostawiłem na koniec. Proszę mi dać zebrać myśli. Nie potrzeba do tego szczególnej odwagi... Dam dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za pełny pakiet zezwoleń - twardo, ze złością w głosie wydusił Machachoryn. Po czym w jednej chwili całą swoją złość i groźbę zamienił w uśmiech i dobroduszość. Nastąpiła pauza.

Dulczyk wstał, przeszedł się po gabinecie, nalał sobie szklanek „Wody święconej” i spojrzął w okno na Marosiejkę. „W razie pożaru nie ma jak wyskoczyć. Czwarte piętro. Nie będzie co zbierać. A gdyby jednak uciekać przyszło?”, pomyślał. I natychmiast wrócił do tematu:

- Przygotuję dokumenty ze strony naszego wydziału. Zaadresuję do waszego najwyższego szczebla. Muszą być podpisane przy biurku naczelnego. Do prac gabinetu ministrów się nie mieszam. Za sprawę wezmę się dopiero po wpłacie, ehe, ehe, całej premii.

- *Ten Siemion Siemionowicz – pomyślał – to cwaniak nad cwaniaki! Myśli, że za dwieście pięćdziesiąt tysięcy tak łatwo się mi urwie, przy tak dochodowym interesie? Nie, nie tak łatwo. Nie jestem taki naiwny, mój prawosławny przyjacielu. Nie tak łatwo ze mną się rozstać, inaczej bym się nie szanował.*

- No, doskonale. Cudownie. Gdzie przekazać premię, generale? – Siemion Siemionowicz jakby się zmartwił, jego ręce zaczęły drżeć, oczy biegały po postaci naczelnika, umysł skakał od jednej myśli do drugiej.

- Kiedy? – oschle zapytał urzędnik.

- Po co odkładać to miłe wydarzenie? Do obiadu będę gotów.

- Bank „Rubin”, poproście Brydczykową, ona przejrzy kwitki i skieruje na właściwy rachunek.

- Poinformować pana, jak sprawa będzie załatwiona?

- Proszę się nie fatygować, dostanę wiadomość z oddziału. Jeżeli dzisiaj wszystko się uda, od jutra zaczynamy przygotowywać pańska sprawę. Proszę do mnie przyjść jedenastego

rano. Przepustka będzie wypisana – powiedział Dulczykow, a sam do siebie w myślach dodał: *Jeszcze rok takiej roboty i będę mógł odejść. Spokojnie, po cichutku, nie ze spadochronem z dachu, ani windą na dół, a schodami, z kaszlem, katarem, chrypką: Oj rozchorowałem się, ehe, ehe. Utykając, z temblakiem na szyi. Nie w mundurze ze złotymi pagonami, a w skromnej marynarce, z ręką w gipsie, plastrem na szyi. Elektrycznym na Szeriemietiewo i... leć, leć gołębeczku! Cały świat otworem...*

Tu myśli jego przerwał głos Siemiona Siemionowicza.

– Nie potrzebuję żadnego dokumentu na wejście. Ba, moje pełnomocnictwo daje mi prawo swobodnego wejścia nie tylko do pana, ale na dowolne piętro gabinetu Rady Ministrów – mówił Machachoryn, którego w tym momencie rozpierało samozadowolenie. Wydawał się niewyobrażalnie szczęśliwy: chciało mu się żyć i zwyciężać w rosyjskich urzędach. Marzyło mu się pokonywanie biurokratycznych przeszkód na drodze rozwoju swojego biznesu i dochrapanie się miana oligarchy.

- *Trzeba będzie pomyśleć o jego biurku* – pomyślał Machachoryn. - *Kusząca sprawa. Może w ogóle da się je kupić? Pięćset tysięcy dolarów, czy milion? Dwa? Wspaniała inwestycja. Posadzić za tym biurkiem Achrapowa. Ba! Brać osiemdziesiąt procent od każdej łapówki. Trzydzieści odprawiać wyżej, siedemdziesiąt zostawiać sobie. Ze swojej doli można odpałać Cenowowi z Dumy i Wniaszynowi z Rady Federacji. A właściwie, tylko biurko Dulczykowa? Warto może pomyśleć i o paru innych. Im więcej zdobędę w rządzie, tym wyższy będzie mój zysk. Biurka urzędników fiskalnych – kuszące pole do inwestowania. Tu wiele można zyskać* – rozpalał się cały i podniecał w miarę kolejnych wizji.

- Pan o czymś zapomniał? – zapytał go zaciekawiony naczelnik.

- Nie, nie. Proszę wybaczyć, generale. Zamyśliłem się, którędy mam jechać. Na drogach korki. Słyszał pan - był wybuch w hotelu „Nacional”. Terror. Zamknięte całe centrum. A ja muszę zdążyć do Brydczykowej.

- A pan tak bez sygnału? Bez specjalnej karty? Bez eskorty? Jak można na to pozwolić? Taka osoba bez atrybutów czci i godności?

- Ależ mam to wszystko... Proszę mi powiedzieć uprzejmie – zadowala pana rezultat naszych rozmów? Ja osobiście jestem zadowolony! Nie tylko sprawę załatwiłem, ale poznałem się z kimś tak mądrym. Jeszcze dziś, przed końcem urzędowania, będę w banku „Rubin” - Siemion Siemionowicz zakończył z uśmiechem. Jednocześnie pomyślał: - *Muszę dać sobie czas. Nie ma sensu się spieszyć. Może mi się poszczęści i w niedługim czasie wysiudam Dulczykowa z za biurka? Tego łapownika. Złodzieja cudzych pomysłów. Grabieżcę obywateli rosyjskich. Łapówki mu się zachciało – ćwierć miliona dolarów! Nie lepiej by mi było dodać drugie tyle i za tym biurkiem posadzić Achrapowa? W końcu biurko świetne! Dochodowe! Dlaczego Achrapow nie miałby być generałem? W końcu to stateczny człowiek. Co prawda podbródek ma cofnięty. Na prawej nodze but ortopedyczny, lewe oko zezuje, a do tego w pstro głowie. Ale urzędnikom rozum jest w ogóle niepotrzebny! Chód, profil, spojrzenie – to atrybuty asów. Urzędnik za biurkiem – to człowiek w cieniu. Za parawanem. Biurko! Biurko! I jeszcze raz biurko! Oto podstawa sukcesu. Trzeba pomyśleć o innych kandydatach. Kogo jeszcze można posadzić za biurkiem? Zaufanych należy wpisać na listę niezwłocznie. Niech czekają. Robótkę, którą sobie wymyśliłem, można pół życia wymadlać na kolanach. Rządzisz biurkiem rok – kieszenie pełne, rządzisz trzy lata – skrzynie nabite, rządzisz pięć lat – tajne konta w banku dziesięciocyfrowymi sumami*

migają. Trzeba było wcześniej o biurkach pomyśleć. Tu Machachoryn uległ skrajnemu wzburzeniu, na twarzy wystąpiły mu czerwone plamy i krople potu, więc żeby się nie zdemaskować, prędko rzucił:

- Na razie, mój miły...

i już chciał się wysliznąć z gabinetu.

- Minutkę, ehe, ehe. W poczekalni podejdzie do pana pan Siemieniura. Ten młody człowiek reprezentuje bank „Allegro”. Mają lukratywną propozycję dla nowych klientów. Mam nadzieję, że się dogadacie. Proszę mieć na uwadze, że to moja prośba.

- Mam już swój bank. Jednak z chęcią wysłucham bankiera. Pańska rekomendacja jest dla mnie rozkazem, drogi generale... No to, do zobaczenia – dodał, a w duchu pomyślał: - *To biurko jeszcze na każdej bankowej operacji biznes robi. Jeżeli on z każdego konta ma jeden procent? Mój obrót – czterdzieści milionów dolarów. To czterysta tysięcy rocznie. A ilu takich jak ja? Oto poczekalnia pełna ludzi. I tak co dzień. Och, zakochuję się w tym biurku. Jak niegdyś w prawosławiu, w fabryce sofrińskiej.*

- Do miłego - rzucił radośnie i zamknął za sobą drzwi.

- *A więc czego chce ode mnie ten prowincjusz z cerkiewnej fabryczki? W wiśniowych pantoflach i błękitnej koszuli! Twoja intuicja, Arkadiju Lwowiczu, podpowiada ci, że marzy o twoim biurku - zaczął myśleć urzędnik. - Ehe, ehe, zachciało się! Biurko dochodowe, czyste. Czemu by nie wziąć? Nie zająć? Z jego powiazaniami. Pieniędzmi! No to hajda! Za milion dolarów! Może nawet więcej wyłoży? Teraz biurka drogo kosztują. Za biurko naczelnika wydziału mniej ważnego niż moja godność, mówią, trzy miliony wyłożyli. Tak, ehe, ehe, całe trzy miliony zielonych. Biurka teraz są w modzie, bezpieczna inwestycja. Sam bym dzisiaj za swoje biurko pięć milionów rzucił. A gdyby kwestia była zasadnicza – to całe siedem. Jak siedem? Tylko siedem?* - Arkadij Lwowicz zadał sobie pytanie. - *Czyżby nie więcej? Co? Pytam? Ile bym nie pożalował? Mów, generale służby fiskalnej, przy jakiej sumie ręka by ci drgnęła? No, dziesięć! Dziesięć? Dziesięć! A zresztą Bóg jeden wie. A temu Siemionowi Siemionowiczowi ubzdurało się, że biurko już jego. Że nogi w wiśniowych butach już na nim leżą. Że on moich klientów skubie, własny kapitał mnoży. Nie, ehe, ehe, prędzej całą cerkiew do bankructwa doprowadzę, niż moje biurko oddam. Jeżeli on dzisiaj do Brydczykowej nie dotrze, to idę o zakład, że plan podstępny wymyślił.*

Tu Dulczyk obłapał biurko rękoma, przycisnął się do niego kolanami, pantoflami oparł o ścianki i zaczął je tak serdecznie, prawie namiętnie całować, że mogło się wydawać, iż ono, biurko, wzbudza w nim najprawdziwsze seksualne uczucia. Do czego to nie ciągnie prawdziwych rosyjskich biurokratów? Co też to ich nie podnieca? Czegóż to nie wyobrażają sobie w swojej podnieconych głowach?

- Do pana, Arkadiju Lwowiczu, pan Wadbolski - odezwała się na bezpośrednim łączu sekretarka. – Można?

Generał nie odpowiedział. Oddawał się swojej miłosnej grze i wciąż obejmował i całował biurko.

- Arkadiju Lwowiczu, można?

- Tak! – wreszcie odezwał się stanowczo. Wcześniejsze myśli z nową siłą zawirowały mu w głowie: - *Trzeba jak najszybciej Machachoryna zneutralizować. Tej sprawy nie wolno zaczynać. Swoje biurko narażać? Nie jestem samobójcą. Nie jestem wrogiem samego*

siebie...

Gdy tylko Machachoryn pojawił się w poczekalni generała, podszedł do niego młody człowiek z garbkiem na nosie, długimi skrzydłami brwi, o smolistych włosach, manifestacyjnie beztroskim sposobie bycia i bacznym spojrzeniu czarnych oczu człowieka Południa. Uśmiechnął się na powitanie i przedstawił:

- Wład Siemieniura, bank „Allegro”. Od dawna marzyłem, żeby się z panem spotkać. Osoba z takimi koneksjami i umysłem bardzo interesuje nasz bank. A co najważniejsze i miłe, nasza znajomość nie jest bezpłatna. Oto dla pana bilety na pierwsze miejsca, na premierę „Romea i Julii” w nowym budynku Teatru Bolszoj. A to zaproszenie na bankiet, który odbędzie się po spektaklu. Pan jest znanym estetą, więc spektakl słynnego angielskiego reżysera Donnellana musi pan koniecznie zobaczyć. Będzie cała elita Moskwy: politycy, biznesmeni, ludzie kultury.

- *Coś za dużo mówi ten bankier. No, żaden z niego Wład Siemieniura, tylko Czerkies, Czeczen, albo ktoś z Kabardy. Znam tych ludzi. Chce, żebym otworzył konto u niego w banku. Jaki inny interes może mieć do mnie?* - pomyślał Siemion Siemionowicz.

- Dziękuję – skrzywił się Machachoryn. – A ta, jak jej tam... będzie tańczyć?

- Ma pan na myśli Biełoczkową? Cudowną, w kostiumach z najlepszych butików europejskich stolic? Tak, kobieta-marzenie. Nie, ona nie tańczy. Jest pan zainteresowany? Sponsoringiem, czy spotkaniem tête-à-tête? Rozumiem! Jak ja pana rozumiem! Proszę zostawić telefon, dowiem się wszystkiego i niezwłocznie zadzwonię.

Dyrektor fabryki cerkiewnej milcząc podał młodemu człowiekowi wizytówkę.

– Jeszcze tylko dwa słowa: klientom banku wypłacamy niewiarygodną premię. Najwyższą w Rosji, w Europie, na świecie. Tak właśnie! – uśmiechnął się Siemieniura. – Proszę zgodzić się na spotkanie w kwestii obsługi pana kont bankowych. Osobistych i komercyjnych. Dam panu propozycję nie do odrzucenia.

- Spektakl jutro?

- Dokładnie tak.

- Tam się spotkamy. Do zobaczenia – zakończył Machachoryn i opuścił poczekalnię naczelnika Wydziału Skarbowego.

- *Jeszcze będziesz mój!* - pomyślał podniecony akwizytor banku.

Do gabinetu Dulczykowa wszedł mężczyzna średniego wzrostu z bokobrodami i gęstymi wąsami. Czarne włosy były lekko przyprószone siwizną, na skroni niewzruszenie królowała spora brodawka, a lewe ucho było zaklejone plastrem. Otwarte spojrzenie czarnych oczu i cały jego cudaczny wygląd podpowiadały Arkadijowi Lwowiczowi, że jego gość to prostaczek.

- Dzień dobry. Dziękuję, że znalazł pan czas żeby mnie przyjąć i wysłuchać. Jestem Wadbolski ze Stowarzyszenia Dworzan – mówił ledwie słyszalnym szeptem, a w końcu całkiem zamilkł, jak gdyby zabrakło mu powietrza – złote pagony naczelnika peszyły go niewyobrażalnie.

- Tak? Czym mogę panu służyć? Proszę przejść od razu do rzeczy. My, urzędnicy wyższego stopnia, mamy wciąż tak mało czasu. Proszę wyłożyć sedno problemu albo przedstawić doniesienie.

- Ja od pana Służowa... - wyszeptał tamten.
- Od jakiego Służowa? – naczelnik udał, że nie kojarzy znanego nazwiska.
- Z Prokuratury Ge-ne-ral-nej – wydukał Wadbolski, mówiąc z najwyższym trudem.
- Ach, tak, przypominam sobie. Bardzo szanuję! Proszę siadać. Póki co, proszę przejrzeć świeżą gazetę, za minutę wracam. – Arkadijemu Lwowiczowi podobało się, gdy interesanci, przestraszeni jego wyglądem tracili głowę. Uśmiechnął się do tej dobrze mu znanej sytuacji. - *Niech wiedzą, z kim mają do czynienia* - zadowolony zamruczał do siebie pod nosem i udał do prywatnego zaplecza gabinetu. Zamiary urzędnika były wyłącznie praktycznej natury: musiał skorzystać z toalety – układ moczowy dokuczał mu z powodu powszechnej u mężczyzn prostaty; nagłówkiem o areszcie X chciał wywołać silniejsze wrażenie własnej ważności; zamierzał również przyjąć tabletkę na potencję, - pamiętał o zaplanowanym spotkaniu z Lubaszą; wreszcie minutkę-dwie musiał poświęcić na próbę przypomnienia sobie, czego dokładnie potrzebował od onieśmiałego pośła potomków arystokratów. - *Przecież było coś. Coś ważnego!* - natrętnie świdrowało mu w głowie.

- Zatem słucham pana... - zaczął urzędnik, wróciwszy za biurko.
- W moskiewskim Stowarzyszeniu Dworzan mamy kryzys. Dokładnie, to ciągnie się to już nie pierwszy rok - tu poseł stołecznych dworzan zmrużył oczy i przeszedł ponownie do szeptu. – Podobno ksiązę Narycyn zdefraudował ogromne sumy, za komercyjne korzystanie z naszej rezydencji. Nie chce mi się w to wierzyć, nijak. Podobno na początku stycznia przysłała pan do nas kontrolę. Część stowarzyszenia podtrzymuje Narycyna, inna Baszmałowa. Ksiązę Służow poradził, byśmy zwrócili się do pana o pomoc, żeby pańscy urzędnicy... - tu Wadbolski z lękiem rozejrzał się po pokoju i upewniwszy się, że poza Dulczykowem nie ma w nim nikogo, ciągnął tym samym ściszym tonem - zachowali się łagodnie. Delikatnie. Ksiązę cierpi na serce. Żeby przypadkiem nie umarł nasz prezes.
- A hrabia Służow, to kto – brat, ehe, ehe, prokuratora?
- Nie, nie. Prokurator Służow jest hrabią.
- Dziwne, w dossier rosyjskich urzędników napisano, że Służow z chłopów.
- Możliwe. Komunisci zostawili nas nie tylko bez własności, ale także bez rodowodów.
- Pan także pochodzi z dworzan?
- Tak! Wadbolscy to stary ksiązęcy ród Rosji. Mogę dodać jeszcze dwa słowa?
- Proszę. Ale temat pochodzenia arystokratycznych rodzin mnie nie interesuje - rzucił leniwym tonem urzędnik.
- Rozumiem! Nie będę zanudzał. A pan sam nie chciałby otrzymać ksiązęcego, albo choćby hrabiowskiego tytułu? – nie patrząc w oczy potężnego naczelnika zapytał gość.
- Ehe, ehe, z moim nazwiskiem? – zdziwiony wytrzeszczył oczy generał.
- A co? Dulczykowowie nie są gorsi od Daszkowych, Woroncowych, Łopuchinych, Czernyszewych. Pan nam pomoże i pańskie nazwisko zabrmi zupełnie po nowemu: państwowy urzędnik trzeciego stopnia, ksiązę Arkadij Dulczykow. Lepiej? Oczywiście, że lepiej! – Wadbolski zdobył się na żalony uśmiech.
- „Hm, rzeczywiście brzmi nieźle. Może przyjąć propozycję?“, przemknęło przez myśl urzędnika.
- A dlaczego Służow nie został księciem? – z zazdrością spytał Arkadij Lwowicz.
- Sam chciał być hrabią.

- Aha, rozumiem – powiedział naczelnik wstając, po czym przeszedł się po gabinecie i znowu spojrzął przez okno na Marosiejkę. - *Jak tu zeskoczyć w czasie pożaru? Mała szansa, by ująć z życiem. Spłoniesz, albo otrujesz się dymem. A Moskwa aż kipi, ile luda biega, biznesem oczadziały. A biurko? Jak je z pożaru uratować?* - natrętna myśl nie dawała mu spokoju. Po chwili naczelnik zwrócił się do posła dworzan:

- A kto ważniejszy: księżę czy hrabia?

- Kto ma więcej pieniędzy, powiązań i przebiegłości – ten jest panem życia.

- A, tak, ehe, ehe, no tak...

- *Co to ja chciałem od tego posłańca dworskiego* - zastanowił się znowu. - *Pieniądzy nie mają, co innego mogłoby mnie interesować? A, tak, przypominam sobie! Niezbyt istotna rzecz, ale pożyteczna dla powiązań...* W tej chwili zadzwonił wewnętrzny telefon. Dulczykowi podniósł słuchawkę i usłyszał głos Lubaszy:

- Do pana ktoś ważny. Mogę na słówko? To pilne.

- Wejść – odpowiedział, krzywiąc się na samą myśl: - *Kogo tu, do diabła, niesie?*

- Poseł przyszedł.

- Poseł? Z Dumy? Ale której kadencji? Przecież mandaty jednych wygasły, a nowe nie nabrały jeszcze mocy.

- On jest tam dożywotnio. Jeszcze z dzieciństwa go pamiętam.

- Nie przedstawił się? Jak się nazywa? – naczelnik starał się nadać swemu głosowi ton nakazujący.

- Dokładnie nie pamiętam. Chyba coś jakby Podcholuzin.

- *Podcholuzin? No tak, to bardzo niebezpieczny typek...* - przemknęło przez głowę generała.

- *Przyjacielu Wadbolski. Poczekaj chwilę w poczekalni. Zadowolę znaną postać naszej Dumy i natychmiast cię poproszę. Posłowie to ludzie porządni, ale kapryśni. No, ehe, ehe, nie obraż się. Ach, jeszcze jedno: w poczekalni podejdzie do ciebie młody człowiek. To przedstawiciel banku „Allegro”. Zada ci kilka pytań dotyczących kwestii bankowych. Bądź taki miły, przyjacielu, i otwarcie z nim porozmawiaj. Zrozumiałeś? Lubasza, zaprosz wybrańca ludu* - zmienił ton urzędowy na serdeczny.

Ledwie dworzanin znalazł się w poczekalni urzędnika, zjawił się przy nim młody człowiek. Uśmiechnął się po przyjacielsku, wziął pod rękę, odciągnął na stronę i przedstawił się:

- Wład Siemieniura, bank „Allegro”. Dawno marzyłem, by pana spotkać. Osoba z pańskimi koneksjami i intelektem bardzo interesuje nasz bank. Ale co najważniejsze i miłe, nasza znajomość nie jest bezpłatna. Oto zaproszenie na bankiet z okazji dziesięciolecia najlepszej moskiewskiej restauracji „Mario”. Rosyjscy dworzanie to znani europejscy smakosze, a potrawy w „Mario” zadowolą najbardziej wybredne podniebienie. Będzie tam cała elita stolicy: politycy, biznesmeni, ludzie kultury. Proszę uczynić mi ten honor i przyjść z małżonką, albo damą serca, na wspaniałą kolację.

- Pan mnie z kimś pomylił - z przestrawem w głosie odezwał się Wadbolski. – Jestem skromnym wykładowcą konserwatorium. O restauracji „Mario” pierwsze słyszę. Pan się pomylił, młody człowieku.

- Pan się nazywa Wadbolski i pochodzi z książęcego rodu. Nie chce pan zostać klientem naszego banku? Mamy świetne prowizje.

- Z mo-ją pen-sją?! – zajęczał poseł Stowarzyszenia Dworzan. - Dwa tysiące siedemset rubli miesięcznie pana zainteresuje? –zapytał ponuro. – Wam potrzebni są bogaci klienci i firmy. Ja, niestety, nie jestem ani jednym, ani drugim...

- Proszę nie odrzucać pieniędzy zbyt pośpiesznie. Dam panu propozycję nie do odrzucenia. Proszę posłucha

: ma pan dużą rodzinę - mama, żona, dwie córki. Prokurator daje pana mamusi, swojej jedynej ciotce, pięćset dolarów miesięcznie na życie. Do tego pańskie sto dolarów i pensja żony. To daje sześćset siedemdziesiąt dolarów miesięcznie. Czyż to są pieniądze dla rodziny księcia? Hrabia Służow ma dziesiątki pokątnych interesów. O wielu z nich jesteśmy dobrze poinformowani. Jeżeli na koniec każdej sprawy sądowej pan będzie zwracał się do członków instytucji, przeciw którym toczy się śledztwo, z prośbą, żeby otworzyli konto w banku „Allegro”, a my swoimi kanałami będziemy ich informować, że przez pana można dostać ochronę od generalnej prokuratury – nikt nie odmówi! Wszyscy z wielką radością zechcą skorzystać z usług naszego banku. Na tym polega pana rola. Będzie pan miał pięć, dziesięć, pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. Sto tysięcy, milion! Milioner Wadbolski. Mercedes pana Wadbolskiego na podjeździe! Samolot pana Wadbolskiego ma zgodę na start! Księżę Wadobolski szuka kapitana i załogi na swój jacht! Czy dostał pan zaproszenie na kolację u księcia Wadbolskiego?! Widział pan suknie córki księcia Wadbolskiego?! Jaką koleję ma matka Wadbolskiego?! Cudo! A dacza Wadbolskiego w Barwisze?! A dom Wadbolskiego w Cannes?! Czytał pan o kolekcji impresjonistów Wadbolskiego?!

- Niech pan przestanie, proszę! – szeptem odezwał się potomek arystokratów. – Po co tak wielkimi sumami szafować i ogromem stanu posiadania? Pańskie propozycje przyprawiają mnie o zawrót głowy. To ponad moje siły – zatoczył się i oparł o ścianę, tu zaś zaczął się trząść, ukrył twarz w dłoniach i cicho zaszlochał.

- *Zaraz się uspokoi* - pomyślał zadowolony z siebie Siemieniura, a zaledwie chwilę potem wymienili się telefonami.

Arkadij Lwowicz przetarł twarz serwetką „Tempo” , którą starannie zmiął i szybko, a nawet jakby nerwowo, wrzucił do kosza. Znowu objął swe biurko, ucałował je, na twarzy rozlał mu się wyraz czułości. Ledwie doszedł do siebie, gdy w drzwiach pojawił się znany polityk. Wyglądał bogato: nienaganny garnitur firmy „Brioni”w kolorze popielatym, lśniąca czarna buty od Keliana, nobliwa, błękitna koszula z modnie obszytym kołnierzykiem, krawat marki „Lanvin”. – Salut naczelnikom! Gdzie tu można usiąść? – rzucił Podcholuzin bezosobowo, ochrypłym głosem. – Urzędnicy twojego wydziału stali się tak surowi, że bez pozwolenia boją się wybrać nawet krzesło. Chachacha!

- Ależ, co pan mówi? Z radością pragnę służyć panu z moim najwyższym szacunkiem - Dulczykowi cały się spocił, chwycił krzesło i podstawił je dostojnemu politykowi. – Jaki problem najszanowniejszego pana mógłbym pomóc rozwiązać? Zamieniam się w słuch i jestem gotów służyć wszelką pomocą.

- Słuchaj, generale, twoi ludzie najechali na barguziński zakład obróbki drewna. To błąd! Straszliwa pomyłka! W ostatnią niedzielę cała tamtejsza brygada, jak jeden mąż zagłosowała na naszą partię. A ty ich teraz karzesz? Nie powiesz mi chyba, że jesteś zwolennikiem Jabłoka czy SPS-u?

- Nie, ależ, co pan, ja, ehe, ehe, tego... w stu procentach jestem wasz. Jestem członkiem

zarządu partii w okręgu północno-zachodnim. Wszyscy moi klienci dostali nakaz głosować tylko na pana.

- Więc czemu topisz partyjnych kolegów z prowincji? Co, trudno znaleźć innych? Może ci okulary zamówić? Monokl sprezentować? Lornetkę? Spis niepokornych sędziów, czy wojskowych przysłać? – Podcholuzin mówił bezceremonialnie, jak rosyjski wielmoża, posiadający władzę nad wszystkim i wszystkimi. Nos jego był uniesiony w górę, a szerokie usta ironicznie rozchylone.

- Tam, ehe, ehe, poważne uchybienia...

- Ty znowu swoje? Jeszcze nie rozumiałeś? Nie widzisz? Ja sam, osobiście przyszedłem. Przestąpiłem twój próg. Jestem tutaj ... A ty mi o dupie Maryni.

- Jasne! Nastąpiła pomyłka, spróbujemy to naprawić niedociągnięcie jest już w tej chwili nieznaczące. A po kontroli, mam nadzieję, wszystko wróci do normy.

- No, tak już lepiej. Ale zanim się zacznie działać, trzeba pomyśleć. Co to znaczy „mam nadzieję”? Ty masz mi dać dokładną odpowiedź. Nadzieję można mieć na dancingu! Tu zobowiązanie potrzebne.

- Proszę, ehe, ehe, o wybaczenie, żadnych uchybień nie będzie. Zakład Obróbki Drewna w Barguzińsku jest firmą działającą zgodnie z prawem. Żadnych uchybień tam być nie może, więc ich nie stwierdzą. W żadnym wypadku. Nie da się znaleźć tego, czego nie ma.

- No, wykazałeś się roztropnością, generale. Pomóc ci po linii partyjnej? Mądrzy, oddani ludzie są zawsze potrzebni. Co byś chciał? O czym marzysz? Chcesz zostać szefem okręgu północno-zachodniego?

- *Potrzebnymi mi ten twój okręg jak...* - ze złością pomyślał Dulczykow. - *Sam wiem, czego mi trzeba. Przykrywka mi potrzebna, pieniądze, i to nie mniejsze niż tobie, oligarcho świeżo upieczony.*

- Bardzo dziękuję. Z takich rąk wszystko z radością przyjmę. W rządzie, ehe, ehe, ma nad nami pieczę pan Santapukin. Jak pan z nim? – ostrożnie zwrócił się do Podcholuzina. – Pytanie nie jest retoryczne. Żeby sprawę z barguzińskim zakładem zamknąć raz na zawsze, a potem chronić go od nagonki urzędactwa, potrzebuję przykrywki na wysokim szczeblu. A o to trudno. Tu można się wpakować w takie tarapaty, że strach myśleć. Na przykład pan A., minister, ma potężny sztab ludzi, którzy kontrolują cały przerób drewna w Rosji. Wpaść w jego żarna nie życzę najgorszemu wrogowi. Pan mnie rozumie? To wielce, ehe, ehe, niebezpieczne. Sympatia do pana i realia – to dwie zupełnie różne sprawy. Czy potrzebny panu taki ktoś jak ja? Zdolny przyjść z pomocą na każde zawołanie, żeby bronić pańskich interesów. Oddany i usłużny. Wiedzący, jak się załatwia sprawy. Zdolny wybielić czarne i oczernić białe. Jestem do pana dyspozycji, wasza ekscelencjo. Będę panu służył. Służył bezgranicznie. Nikt nie śmie odtąd nawet źle spojrzeć na zakład barguziński. Niech chłopcy tam sobie baraszkują. Zza mojego biurka ich obronię. Generał Dulczykow będzie ich tarczą. Ale jako praktyk powiem panu rzecz następującą: bez pana Santapukina nie ma siły, nie można w tej sprawie oczekiwać sukcesu – wyrzucił z siebie generał, a w duchu pomyślał: *Jeżeli taką przykrywkę jak Santapukin uda się pozyskać, to można będzie skrzydła rozwinąć, nie? Z oligarchusiami wejść w dialog z pozycji siły, odczepić się od nich, swoje biurko ochronić. Klientelę poszerzyć. Tak, ehe, ehe, jednym słowem – opatrność mi zsyła tego Podcholuzina szczęśliwie. Żeby tylko się zgodził. Myślę, że się uda. W końcu sam tu przyszedł ratować dwadzieścia siedem milionów dolarów. Suma nie byle jaka! Do bólu*

przywoita. Cudowna paczka zielonych! Aż zapach czuję. Kęś by mi uszczknąć, ech! Ale urzędnik u władzy więcej wart. Więc, Arkadiju Lwowiczu, powściągnij swój zapał dzisiaj. Wszystko się spełni. Jeszcze pokażesz światu co potrafisz.

- Pan Santapukin, powiadasz... - odezwał się zamyślony wybraniec narodu. - Tak, dobrze go znam... Ale ty, kochaneczku, nie pleć mi tu bajek. Za przykrywkę Santapukina to ty nie tylko barguziński kombinat dla mnie będziesz ochraniał, ale całą listę innych firm. Od Dalekiego Wschodu po Bałtyk, od Jeniseju po Soczi. Jakoś nie słyszę radosnego zachwytu. Gdzie się podział nasz generał? – tu lider znanej partii spojrział srogo na Dulczykowa. Naczelnik udał wzburzenie: zadrżały mu w usta i ręce. Doskonale znając mentalność współczesnych wielmożów potrafił świetnie zagrać na ich uczuciach.

- Jestem gotów, ehe, ehe, gotów na wszystko, wasza ekscelencjo! Będę pana poddanym! Pana pudlem! Niech pan rozkazuje! Wszystko, co pan zechce. Każde najbardziej szalone polecenie spełnię! Ale niech pan da mi do pomocy urzędnika z rządu. Niech mu pan powie, że za pańskim pozwoleniem Dulczykow jest gotów mu służyć. Z takim samym gorliwym zapałem! Z furią członka naszej partii rządzącej. Gdzie lista firm, ehe, ehe, które należy niezwłocznie obsłużyć, według standardów, z zamkniętymi oczami, zabetonowanymi uszami, odciętym językiem? Proszę dać mi możliwość wykazania się. Pokazania talentu audytorskich manipulacji. Udowodnienia, że dwa dodać dwa jest siedem, albo sto osiemdziesiąt, albo sześć tysięcy dwieście. Jestem mistrzem tego oryginalnego stylu. Jestem antymatematykiem doskonałości, antylogikiem. Nauczyłem się czytać przepisy przez kalkę, dodawać do nich własną redakcję, nie zauważać kolejności. Wszystkie te umiejętności składam u pana stóp, proszę mnie deptać, posługiwać się mną w każdy niewyobrażalny sposób, proszę pluć na moją głowę, podbijać mi śliwki pod oczami, wysyłać, bym polował na cudzą własność, rozkazać, bym zarabiał dziesiątki, setki milionów dolarów, euro, funtów szterlingów, czy szwajcarskich franków do pańskiej kieszeni. Proszę rozporządzać wyjątkowymi zdolnościami zacieklego naczelnika dla spełnienia swoich politycznych i komercyjnych zachcianek. Niech pan zatyka generalskim nosem Dulczykowa każdą dziurę swojego budżetu i biznesu. Urzędnik stojący teraz przed panem od dziś należy wyłącznie do pana, wasza ekscelencjo. Jest waszym niewolnikiem! Czeką tylko na pańskie rozkazy. - *Widzę, że zamąciłem w głowie temu Podcholuzinowi - przemknęło przez myśl Arkadijowi Lwowiczowi. - Teraz załatwi sprawę z Santapukinem. A ja ukryję się pod jego rządowym biurkiem jak weksle w bankowych sejfach! I wtedy sam zacznę działać. Według własnego uznania. Potrzebny mi będzie ten Podcholuzin. Tfu!*

- Dzisiaj spotykam się z osobą, o której mowa - zaczął poseł wszystkich kadencji. – Oczywiście, będzie mowa i o tobie. Umocnię twoją karierę na przyszłość. Dopóki on będzie w rządzie – będziesz naczelnikiem. A potem zobaczymy. Ludzie, którzy mi służą, są niezatapialni,! Tylko nie zawieź mnie długim językiem czy nieposłuszeństwem. Na Cmentarzu Trojekurowskim miejsce dla nieboszczyka zawsze się znajdzie. Rozumiesz, co mam na myśli? Co zaś się tyczy zakładu w Bagruzińsku, odwołaj swoich ludzi i przygotuj raport o prawidłowym działaniu przedsiębiorstwa. To będzie pierwszy wkład w plan twojej lojalności. Spis pozostałych firm, którymi się opiekuję, dostaniesz dzisiaj do wieczora. Zadzwoń po obiedzie. Przeczytasz mi decyzję w sprawie Bagruzińska. A teraz znikam! – polityk wstał i udał się do wyjścia.

- Dziękuję za zaufanie. Zawsze może pan na mnie liczyć, jak, ehe, ehe, na swego wiernego

sługę. Powodzenia! – generał odprowadził wybrańca ludu do drzwi. Ten nawet nie obejrzał się i wyszedł z gabinetu. - *Ty mi tylko załatw sprawę, a potem idź sobie dokąd chcesz. Ważniak się znalazł!* - pomyślał urzędnik patrząc w ślad za znanym działaczem Dumy. – *Pomyśl, Podcholuzin, za rok-dwa porzucę ten kraj i nie będę pamiętał ani twojej twarzy, ani nazwiska.*

Arkadij Lwowicz podszedł do okna i spojrzął na Marosiejkę. Znowu w głowie zakotłowały mu się te same myśli: - *Co robić, gdy wybuchnie pożar? Nie wyskoczysz. Uciekać nie ma dokąd? A nawet jeśli, to jak żyć gdzieś tam za górami? Tam takiej dojrzej krowy nie będzie. Nie umrzesz ty tam aby z tęsknoty, Dulczykow? Kolejki do twojego gabinetu tam nie zobaczysz...*

Nagle usłyszał głos sekretarki:

- Arkadiju Lwowiczu, kogo wołać?

Naczelnik powoli oprzytomniał, ochłonał, zastanowił się i niespiesznie rzucił:

- Niech wejdzie Wadbolski. Potem według listy”.

Gdy Podcholuzin wszedł do poczekalni, żeby opuścić budynek znanego urzędu, kilka osób, wśród nich Mamiedow i Wład Siemieniura, przysłoniło swe twarze magazynem „Interier”, by nie spotkać wzroku znanego polityka. W poczekalni, gdzie się teraz znajdował, nie uchodziłoby takiej osobie spotykać się z kimkolwiek.

- Taak, mój drogi. Podcholuzina ty, najwyraźniej, ehe, ehe, znasz. To znany i popularny polityk. Zaszedł tu, do urzędu, z krytycznymi uwagami na temat moich podwładnych. Wiele ciekawych sugestii usłyszałem. Taka nasza służba - błędy, tam gdzie się pojawiły, naprawiać. Przy czym, pańską prośbę należy spełnić. Bardzo cenię pana Słuzowa, chociaż pracuje w prokuraturze, ale z natury to prawdziwy adwokat. Uprzejmy, miły człowiek. Nawet prokuratorem trudno go nazwać. Więc mam dla pana drobne zadanie. Jeden z przyjaciół mnie poprosił. Taki nasz los, ehe, ehe, urzędników. Jest pewna stara kolia. Cała ze szmaragdów, a środkowy kamień to piętnastokaratowy brylant. Podobno należała ... - tu Dulczykow otworzył książkę telefoniczną i na samym jej końcu przeczytał:

- ...do hrabiny Marii Siergiejewny Golenicewej-Kutuzowej. Hrabina była żoną brata Mikołaja II, Wielkiego Księcia Dimitrija Aleksandrowicza Romanowa.

Arkadij Lwowicz zamknął książkę i ciągnął dalej:

- Żadnych dokumentów, potwierdzających tę wersję, ehe, ehe, oczywiście nie ma. A byłyby potrzebne! Taak... Więc gdyby Stowarzyszenie Dworzan dało papier, gdzie, na przykład, książkę taki a taki i hrabia taki a taki – konieczne byłoby pięć podpisów – zaświadczają, że kolia rzeczywiście należała do wspomnianej damy, to... no, sam pan rozumie. Czy pan spełni tę moją prośbę? Dokładny opis klejnotu otrzyma pan od pani Archarowej. Znajdzie pana sama. Więc jak, ehe, ehe? Dogadaliśmy się? Może pan taką papierową błahostkę zorganizować? – jakby mimochodem rzucił pan Dulczykow.

- Rad będę przysłużyć się znamienitemu generałowi. Biegnę zatem do Narnicy. A w sprawie pańskiego książęcego tytułu pozwoli pan podjąć pierwsze kroki? Jestem przekonany, że Stowarzyszenie Dworzan jednogłośnie zaakceptuje tę inicjatywę. Czy mogę uspokoić towarzyszy, że pańska komisja zachowa się łagodnie przy audycie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Arkadij Lwowicz jedynie uśmiechnął się i jakoś dwuznacznie

kiwnął głową.

– Ale dlaczego „towarzysze”? Czyżbyście w moskiewskim Stowarzyszeniu Dworzan zwracali się do siebie tym zapomnianym komunistycznym słowem? – zapytał Arkadij Lwowicz uśmiechając się fałszywie.

- Proszę wybaczyć, ale nie pamiętam dlaczego. Dziękuję za ciepłe przyjęcie, najjaśniejszy księżę Dulczykow. Wszystkiego dobrego.

Wadbolski pospieszył do drzwi i wyszedł z gabinetu.

- *A to całkiem niegłupio: najjaśniejszy księżę Dulczykow* – pomyślał naczelnik, po czym wyprostował się, uniósł pierś przepelnioną dumą, a nos zadarł niemal do samych brwi. - *Teraz można donieść gubernatorowi, że jego prezent ślubny dla córki wicepremiera zyskał na wartości. Znacznie podrożał, tak? Potem zajmę się swoimi sprawami. Mam kilka pomysłów.*

Urzędnik przeszedł się po gabinecie, przypomniał sobie o Machachorynie, wrócił, coś ponotował, po czym podszedł do okna i wyjrzał na Marosiejkę. - *A więc uciekać nie ma dokąd? Wysokość dwadzieścia pięć metrów* - pomyślał. - *Gdzie tu skakać? Może linę przygotować, rękawice? W razie pożaru można będzie się spuścić. Ale czy tam, za górami, znajdę spokój? Tfu, rosyjskie życie!*

- Pan Mamiedow do pana - rozległ się głos sekretarki. Urzędnik przez chwilę stał w milczeniu, jak gdyby próbował przypomnieć sobie, kto to taki ten Mamiedow, po czym rzucił:

– Niech, ehe, ehe, wejdzie.

Do gabinetu wszedł „przedstawiciel narodowości kaukaskiej”. Mamiedow był potężnie zbudowany, średniego wzrostu, o wyrazistej, ufnej twarzy. Czarnowłosa, czarnobrewy, smagły, ubrany na czarno. Jego charakterystyczne rysy wskazywały, że pochodzi z Azerbejdżanu. W rękach trzymał niedużą torbę podróżną.

- Taak, słucham pana? - zaczął naczelnik niskim głosem.

- Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. Powiedzieli panu, jak długo płakałem, gdy naszego Alijewa chowali? To nieszczęście dla wszystkich Azerbejdżan. Rosyjscy politycy mówią, że on był głazem. Głazem? Toż to kamień drogocenny! Słowo honoru, długo płakałem.

- W jakiej sprawie mnie pan niepokoi? – ze złością zapytał Arkadij Lwowicz.

- Ja miałbym pana niepokoić? Mnie pański dawny naczelnik powiedział, że Dulczykow moją sprawę załatwi. Dzwonił do pana?

- Jaki mój były naczelnik?

- Nazywa się Szeff.

- Szeff? Takiego naczelnika, ehe, ehe, nigdy nie było. I nikt do mnie nie dzwonił w pańskiej sprawie – udał urzędnik.

- Jak to nie było? Słuchaj, słowo honoru, że był. Cała Rosja go zna!

- W czym rzecz? Proszę mówić krótko. Sam pan widział, jaka kolejka w poczekalni.

- Tak, tak. W moim interesie jest mówić o sprawie. Pan zna restaurację „Kardasz”? To, po naszymu, „przyjaciół”.

- Nie znam. Ale to nieważne, ehe, ehe, proszę mówić

.

- Naczelniku, jestem właścicielem tej restauracji. Każdego dnia ludzie z rządu do mnie

przychodzą. I mówią: służba fiskalna ci wszystkie wydatki odliczy. Więc przyszedłem dowiedzieć się, jak odlicza się wydatki. Jakie oświadczenie napisać? Słowo daję, wydatki mam ogromne.

Tu Dulczykow poczuł zapach przypraw.

- Co pan ma w torbie? – zapytał bardzo surowym głosem.

- Jak to co? Jedzenie. Najlepsze potrawy mojej restauracji przyniosłem, tak. Spróbuje pan raz i całe życie za Mamiedowem będzie pan chodził – uśmiechnął się tak szeroko i dobroduszenie, że naczelnik na moment zmięknął. Jednak prawie natychmiast wziął się w garść:

- Jak pana przepuścili z tą torbą? Nie mogę sobie wyobrazić, że wpuszczają do nas z pakunkami!

- Jak mieli nie puścić, co też pan? Szef ochrony też do nas przychodzi. Wesoły człowiek, naprawdę. Przysięgam!

- Kto dokładnie powiedział panu, że ja anuluję wydatki pańskiej restauracji?

- Już mówiłem. Szeff.

- Kto do pana przychodzi oprócz szefa ochrony?

- Słowo honoru, przysięgam, nazwisk nie znam. Naprawdę nie znam. Twarze znam, ale jak się nazywają, nie wiem. Milicja przychodzi, inspekcja handlowa przychodzi, ochrona przyrody przychodzi. Prokuratura przychodzi, celnicy przychodzą. Kto jeszcze? – wzniósł oczy do sufitu. – Kontrola podatkowa przychodzi, komórka do zwalczania narkotyków przychodzi, Duma przychodzi, Rada Federacji przychodzi, służba drogowa przychodzi...wszyscy przychodzą. Mam same straty, szanowny panie. Niech pan mi umorzy siedemnaście milionów rubli. Rok się kończy, tak. A ja co, mam jeszcze podatek od dochodu zapłacić? Słowo honoru, to nie w porządku. Dobrym jedzeniem ugaszczę całą władzę, a tu jeszcze podatek płacić! Tak może być w Azerbejdżanie, ale nie w Rosji. Rosjanie są mądrzy. Sprawiedliwi. Kierują się rozsądkiem.

Tu Mamiedow zaczął wyciągać ze swojej torby potrawy restauracji „Kardasz”.

– Oto dolma z jagnięcia, a to bozbasz, gotowany na kurdiuku, palce lizać, a to mięsiste pomidory z Nachiczewania, to szaker-czurek, a to lula-kebab z kozłęcia – mniam mniam! Tutaj szaszłyk z jesiotra kaspijskiego, a tu pachława – Mamiedow przyłożył dwa palce do ust i cmoknął. – Naczelniku, wszystko smaczne, że palce lizać! Niech pan anuluje siedemnaście milionów rubli, przysięgam, na waszych rządowych urzędników je straciłem.

- *Kto go tak nakręcił? Kto nadał tego kaspijskiego wezyra?* – pomyślał, uśmiechając się Dulczykow. - *Czyżby ten żarłok Szeff? A może oni naprawdę wierzą, że jestem gotów anulować siedemnaście milionów rubli? Jak to, Dulczykow nie odpisze? Zapomnieli, dranie, że w kraju funkcjonuje fiskalny porządek! Kosztują kaukaskiej kuchni, pasą brzuchy, a ja mam na nich jeszcze środki budżetowe tracić? A może tu zarobek jakiś? Gdyby tak restaurator znał wszystkie nazwiska urzędników? Można byłoby z nich te pieniądze odzyskać. Nauczyć tego Mamiedowa, jak anulować podatki, a z tamtych odzyskać siedemnaście milionów. Pieniądze wprawdzie żadne, ale liczy się styl! Sztuka biurokraty. Wyrafinowanie urzędnika. Hazard!*

- No dobra, przenieś swoje specjały do pokoju wypoczynkowego, tam, na prawo. Co zaś do twojej prośby... Potrzebna mi lista nazwisk tych urzędników, którzy za darmo u ciebie w „Kardaszu” hulają. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

- Co? Jak ja mam nazwiska sprawdzać? Mogą się przestraszyć. Co ja im powiem? A jeżeli obrażą się i mnie zamkną? Co przyjaciele powiedzą? Wstydliva nowina obleci Moskwę i Baku: restaurację Mamiedowa zamknęli, bo Mamiedow donosił. Mamiedow kanalia! Jak ja dalej żyć będę? Nie, naczelniku, niech pan znajdzie inny sposób. Przysięgam, bardzo proszę!

Dulczykow zamyślił się, wyjął z kieszeni i pokręcił w palcach fiolkę z tabletkami, które dla pobudzenia uczuć przed paroma minutami zażył, po czym nagle, jakby się ocknął, momentalnie schował fiolkę do teczki, spojrzął na zegarek, podniósł w górę palec i poradził swojemu rozmówcy:

- Rób tak: bierz od każdego wizytówkę, zapisuj na niej, kto ile winien, i ehe, ehe, przekazuj mi potem te wizytówki. Wtedy pomyślę, jak pomóc. Zrozumiałeś?

A w myślach powiedział do siebie: - *Przypatrzysz się tym nazwiskom, Arkadiju Lwowiczu. Kto na koszt drobnego przedsiębiorcy azerbejdżańskiego się objada? Co można od nich wyciągnąć, jak smakoszy zmusić do hojności? Może jakaś inna korzyść wyniknie z tego? Trzeba pracować, działać. Myśl, wysilaj mózgowicę. Skoro chcesz mieć pełną kieszeń, swoje biurko ochronić, o locie z Szeremietiewa za góry zamyślasz.*

- No, idź już, Mamiedow - zwrócił się do restauratora. - Gdy zbierzesz materiały, możesz jeszcze raz zajrzeć. Ruszaj! Spraw mam pełno. W poczekalni podejdzie do ciebie młody człowiek. Wysłuchaj go.

- Dziękuję! Niech mi pan pomoże, naczelniku. Nie żartuję, przysięgam, to wcale nie żarty te siedemnaście milionów rubli. Niech mi pan poradzi, no, co robić?

- Idź, idź! Już wszystko powiedziałem.

Mamiedow ze spuszczoną głową, powoli, bojaźliwie zerkając na zniecierpliwiony wyraz twarzy naczelnika i mamrocząc coś do siebie pod nosem, poszedł do wyjścia.

Dulczykow znowu przypomniał sobie o Machachorynie, wstał z biurka, przeszedł się w zamyśleniu po gabinecie. - *Jak mam tego cerkiewnego szczura oskubać? Co za gbur? Przyszedł z prośbą, a na moje biurko się zasadził. Perspektywy go zanęciły? Zamyślił sprzątnąć mi mój fetysz? Nie, nie zobaczysz ty, prawosławny, mojego biurka. Z takimi myślami przeszedł się kilka razy po gabinecie, potem najwidoczniej zmęczony rozmyślaniami albo znalazłszy rozwiązanie sprawy, nagle podszedł do okna, wyjrzał na Marosiejkę i zaczął myśleć o czymś zupełnie innym:*

- *Taa, stąd w razie pożaru nie ma dokąd uciec. Trzeba szoferowi Mitce dać polecenie, żeby linę kupić, długą, i rękawice robocze. Wtedy jest szansa! Gdyby linę do kaloryfera przywiązać, można wtedy i biurko spuścić, i samemu na ulicę się ześliznąć. Wylądować na Marosiejce. I jeśli nawet sam urząd spłonie, klientów wprost na ulicy można obsługiwać. Biurko będzie całe! Brawo! To przednia myśl! Kolejka do mojego biurka nie będzie widoczna w tłumie. Szpicle nie domyślą się, kto do mnie, kto do sklepu „Świat”, a kto do redakcji, do Sieminy, pod dziesiątkę. I aparat do wykrywania podsłuchów nie potrzebny. Pieniądze można wyciągać nieograniczone. Ale jest lepszy pomysł: o gdyby tak wprost z gabinetu na linie od razu za granicę? Co? Nie przez to cuchnące Szeremietiewo, aber direkt. Z mroźnego powietrza w przeddzień Bożego Narodzenia w samo centrum Europy! Co myślisz, Dulczykow? No powiedz, co? Prosto do Berlina, Paryża, Londynu! Do siedmiogwiazdkowych restauracji. Kiedyż to gabinety zamienią na lotniska, służbowe biurka na maszyny do drukowania pieniędzy, a liny na samoloty? Lżej by się żyło! Rzyka by, ehe,*

ehe, nie było. Kaszel nerwowy by minął! Tabletek na dziewczyny bym nie musiał brać. Żyłbym jak wolny kozak...

Takie cudowne myśli buzowały w głowie doradcy rządowego trzeciego szczebla.

Siemieniura czekał na Mamiedowa. Młody człowiek zamierzał przez niego dotrzeć do całkiem sporej azerbejdżańskiej diaspory, żyjącej w stolicy jak i w Piterze, żeby namówić ją na kuszące propozycje banku „Allegro”. Taki niezagospodarowany kawał rynku: ponad pięćset tysięcy Azerów mieszka w obydwóch stolicach, a restauracja „Kardasz” pęka w szwach od majątnych rodaków Mamiedowa. Zdolny agent banku podszedł do udręczonego restauratora, uśmiechnął się, po przyjacielsku klepnął go w ramię i odprowadził na bok.

- Kim pan jest? – zapytał oszołomiony Mamiedow. Jego oczy były wytrzeszczone, usta otwarte.

- Wład Siemieniura, bank „Allegro”.

- A mnie co do tego? – przestrach nie opuszczał Mamiedowa.

- Arkadij Lwowicz nie mówił panu o mnie?

- Ach tak, przepraszam. Słucham? Co mam zrobić? Pieniądze dać, żeby moje sprawa była załatwiona, tak? Ile?

- Chcę zaproponować inny wariant. Powinien pan pospisywać długi zobowiązanych wobec pana osób: to nie takie wielkie pieniądze, ale zawsze siedemnaście milionów rubli. Po dzisiejszym kursie to około sześćset tysięcy dolarów.

- Jakich zobowiązanych wobec mnie osób? Słowo honoru, nie znam takich.

- Zgoda, nie zobowiązanych, a dłużników. Ja wszystko wiem o panu. Pan nie współpracuje z bankami?

- Jak nie pracuję? Współpracuję, jeszcze jak! Przychody codzienne przelewamy, pensje rozliczamy, towar opłacamy...

- Mówię o lewych pieniądzach. Gdzie je trzymacie? W worku, w kartonach? Do banku ich przecież nie zanosicie. Finansiści oceniają obroty moskiewskich restauracji na dwa miliardy dolarów. A według fiskalnych statystyk restauracje te odprowadzają podatki od dwóch milionów dolarów. To znaczy, od dziesięciu procent. A gdzie dziewięćdziesiąt? Jaki sens trzymać pieniądze w skarbonce? Nasz bank proponuje anonimowe konta. Na których można z pełną gwarancją trzymać dowolne kwoty. Płacimy osiem procent rocznie. Organy fiskalne nic o tym nie będą wiedziały. Pan mnie rozumie? Jeżeli wszystkie swoje pieniądze i kapitał swoich rodaków ulokuje pan w „Allegro”, nie tylko skompensuje pan swoje straty z „Kardasza”, ale zarobi duże pieniądze. Stając się naszym akwizytorem, zapomni pan, że życie przepełnione jest problemami restauracji.

- Słowo honoru, ja nie całkiem pana rozumiem. Tak dobrze nie znam rosyjskiego. Teraz, w ogóle, zdenerwowałem się. Jestem rozkojarzony, tak. Zrozumiałem, że jest jakiś pomysł, ale, przysięgam, tak od razu nic nie odpowiem. Muszę się uspokoić, jeszcze raz pana wysłuchać. Proszę przyjść do mnie, do „Kardasza”. Zaproszę swojego starszego brata. Przysięgam, on zna świetnie wasz język. Porozmawiamy, tak? Słowo honoru, chcę wszystko zrozumieć. Efendi Dulczykowa pana zaprotegował. Jego zdanie należy szanować!

- Wpadnę jutro wieczorem - zakończył młody człowiek.

Naczelnik Arkadij Lwowicz oczekiwał pana Kuziakina. Przed wojskiem rekrut Kuziakina miał

w dowodzie osobistym i książeczce wojskowej zapisane bardzo męskie, lecz nieco staroświeckie imię: Apolinary Modestowicz. W szkole z niego się czasem wyśmiewali. Nie były to jednak szczególnie złośliwe żarty i Apolinary Kuziakina wyrósł na normalnego chłopaka. Ale w wojsku młody żołnierz ze stolicy zupełnie niespodziewanie dla samego siebie poczuł jakiś niezrozumiały zachwyt chorążym oddziału Tarasem Popłoskinem z Tuły. Około dwóch tygodni nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Chorąży zjawiał mu się nawet we śnie. I to w najdziwniejszych pozach i niedwuznacznych zamiarach. Pierwsze dwa-trzy takie sny nawet dziwiły Kuziakina: skąd i dlaczego takie dziwne nocne widziadła wciąż go prześladowają? Ale dość szybko, dosłownie kilka dni później, nie tylko że przywykł do nich, ale starał się wcześniej zasnąć, żeby „znowu to wszystko ciekawe i przyjemne prześnić”. A gdy pewnego dnia w kąpieli stał pod prysznicem i nagle zobaczył przed sobą Popłoskina, bardzo się wzburzył. Nie miał jeszcze do czynienia z kobietą, a poruszenie całego jego ciała jak najbardziej przypominało uczucia typowe przy spotkaniu dwojga zakochanych. Za ledwie jedno zdanie Tarasa Połoskina zdecydowało o dalszym życiu Kuziakina. Chorąży wlepił w niego wyzywające spojrzenie i zaproponował:

- Wyszoruj mi plecy gąbką, a potem ja tobie wyszoruję.

Po tym wydarzeniu ciągle szukali pretekstu do spotkań w ustronnym miejscu. Udaowało się im to świetnie i to nader często. Dlatego czas spędzony w wojsku Kuziakina wspominał z przyjemnością.

Po odbyciu służby wojskowej Apolinary Modestowicz Kuziakina zmienił dokumenty. Teraz w jego dowodzie pojawiło się imię brzmiące nieco mniej męsko: Julij Juliewicz. A na co dzień prosił, by go nazywano Julikiem. Po studiach w Instytucie Humanistyki zaczął pracę w miejskim wydziale kultury. W wieku czterdziestu dwóch lat doszedł do stanowiska starszego inspektora. Mówiono, że szykują go na zastępcę naczelnika wydziału, że go proteguje pewna wpływowa osoba z samego ministerstwa kultury. Drobnym urzędnikiem miejskim nie miał rodziny. Cały swój wolny czas spędzał na niezliczonych stołecznych spotkaniach. Szczególnie często widywano go wśród gwiazd estrady i telewizji. Ubierał się Apolinary Modestowicz modnie i kolorowo, ale nie w ubrania z moskiewskich, czy europejskich butików, lecz sam szył sobie stroje ze starych ubrań domowników. Do generała Dulczykowa skierował go przyjaciel: jeden z zastępców ministra wydziału, w którym służył Arkadij Lwowicz. Ów zastępca w ministerstwie był w całej Moskwie znany ze swoich skłonności i państwowy urzędnik trzeciej rangi doskonale o nich wiedział. Czegoś takiego się w stolicy nie ukryje. Przy tym Dulczykowi uważał się za człowieka współczesnego, więc skłonność do tej samej płci nie wywoływała w nim żadnych negatywnych uczuć. Wyznawał jedną prawdę: każdy powinien żyć tak, jak mu się podoba, a zasady ustanawia

sobie samemu. Pismo Święte, konstytucja, prawo cywilne i karne były dla niego jedynie impulsem do wyęźniania umysłu, by znaleźć sposób obejścia wszelkich wydumanych, jak je postrzegał z własnego punktu widzenia, dogmatów.

I teraz właśnie ten Kuziakina wchodził do jego gabinetu.

- Taak... - zaczął naczelnik, przyglądając się Kuziakiniowi. – To pana zaprotegował pan Żaspupin? Jeden z moich szefów? Najczcigodniejsza postać naszego wydziału?

- Dokładnie - aktorsko wszedł w rolę Julij Juliewicz.

- *Gdyby on wiedział ilu jest u nas zastępców* - pomyślał Dulczykowi. – *Jakby chcieć z*

każdym się przywitać, pół dnia by zajęło. Pracować nie byłoby czasu. Przy czym ten Żaspupin jest rzeczywiście mocny. Ze wszystkimi się całuje, wszyscy go na spotkania zapraszają. Jest niebezpieczny! Trzeba być uprzejmym dla jego wysłannika. A ten Kuziakin całkiem niezłe wygląda. Dziwak, ale dzisiaj to modne. Nie wygląda na „takiego”. I ta twarz sportowca. Jasne dobroduszne spojrzenie, wygląd dobrze wychowanego człowieka. „Oni” nie wszyscy tacy? A nasz zastępca? Albo Rewiakin z okręgu centralnego? Brr! Aż bije od nich wulgarna zniewieściałość. Tak czy inaczej, Arkadiju Lwowiczu, z nimi trzeba ostrożnie!

– W czym, ehe, ehe, mógłbym być pomocny? – dobroduszenie uśmiechnął się generał. – Przyjaciele naczelników są dla mnie niczym moi starsi doradcy. Proszę rozkazać, komu mam nawtykać!

- Ja nie w sprawie skargi, ani z prośbą, przyszedłem się tylko poradzić - smętnie zaczął Kuziakin. – W ostatnim czasie... nie daje mi spokoju pewna patriotyczna idea.

- *Niczego sobie interesant* - przemknęło przez głowę generałowi. – *Powinien iść do psychiatrii, do Kaszczenki, albo na Kreml, do W., a nie tu do mnie.*

– Taak, słucham z zaciekawieniem.

- Wciąż myślę o tym, jakie życie jest niesprawiedliwe. Wiem, dziś niemodnie o tym myśleć. A jednak nie daje mi to spokoju. I tak na przykład, zupełnie nie jestem politykiem i daleki jestem od wszelkich społecznych ruchów. Jak pan myśli, skąd to się bierze? – wlepił błagalne spojrzenie w naczelnika.

- Dojrzałość obywatelska? Wpływ mądrych książek? – powstrzymując uśmiezek odparł Dulczykow. - *Pierwszy raz mam takiego cudaka!* - pomyślał jednocześnie.

- Raczej nie to. Ostatnimi czasy nie czytam prawie wcale. Częściej już patrzę na świat, ale, oczywiście, nie na wszystkie jego przejawy, a tylko na moskiewskie życie kulturalne. Rzadziej myślę o sensie życia. Więc moje przeżycia są spontaniczne, bez żadnego wewnętrznego impulsu. Ma pan teraz czas?

- Naczelnik się za panem wstawił, poza tym sam w sobie jest pan interesującą osobą. Z przyjemnością, ehe, ehe, wysłucham pana. Ale widział pan kolejkę. Tak więc mamy piętnaście minut. Proszę mówić. Posłucham mądrych opinii. Tak rzadko się to zdarza w naszej pracy. – powiedział, dyskretnie zerkając na zegarek. Była jedenasta piętnaście... - *Za kwadrans zaczną działać tabletki* - pomyślał generał, czując narastające w nim napięcie.

- *Muszę zająć się wtedy Lubką. A jeśli ten tu zacznie się do mnie przystawiać? Co robić? Jak się zachować, cholera? A jeśli nie wytrzymam? No? Nawet myśleć strach. A jeśli odmówię? Co z moim biurkiem się stanie? Odbiorą, na pewno odbiorą. Są mocni. Tu nie zawsze pieniądz decyduje. Oni są solidarni, ręka rękę myje. A jeżeli faktycznie trzeba będzie, żeby biurko zachować? Pójdę na to? Ale czy wytrzymam? No, pomyślimy...* - Dulczykow znowu powstrzymał uśmiech i z powagą spojrzał na Julija Julijewicza.

- Coraz częściej i głębiej zaczynam zdawać sobie sprawę, że nie rozumiem tego świata - wolno artykułując słowa, odezwał się interesant. – Zaczyna się to od jakiegoś tematu, spojrzenia, widoku, odpowiedzi, a potem wciągają mnie męczące rozmyślenia. Nad sensem własnego życia i życia otaczających mnie ludzi. Oto ledwie minęły wybory. Teraz właściwie wszystkie medialne instytucje debatuja o porażce demokratów, ale czy u nas w Rosji w ogóle jest demokracja?

- *Co on się do mnie przyczepił z tymi bredniami* – myślał Arkadij Lwowicz z narastającym niezadowoleniem. – *Mam tyle własnych spraw, a ten tu o społecznych problemach. Nie*

obchodzi mnie to! Od dawna już nie obchodzi!

- Jaki, proszę wybaczyć, demokrata, z pana Mawleńskiego? Skoro mercedesem sześćsetką z ochroną na jeepach podczas kampanii wyborczej pod szpital zajżdża? W kaszmirowym płaszczu za pięć tysięcy dolarów, w garniturze za trzy tysiące? Jak można pogodzić tak różne poziomy życia, mentalności, smaku, morale? Albo ta znana dama, Chakimedowa? Z jej wyszukanyymi arystokratycznymi manierami, pretensjonalnym tonem, luksusowym mieszkaniem, stylem lwicy salonowej. Ona na fryzjerów wydaje dziennie więcej, niż przeciętna rosyjska rodzina na utrzymanie miesięczne, a może nawet roczne. Czy choćby Lancow? Co, on według pana też demokrata? To człowiek elity. Wyższej klasy! Ma wygląd panującego wielmoży! Sposób bycia króla życia. Magnata!

W tym momencie Dulczykow nerwowo spojrzął na aparat do wykrywania podsłuchów. - *Dzięki Bogu, włączony. Jego słowa to materiał do natychmiastowego pozbawienia mnie biurka. Niechybnie odbiorą, nie? Obwinia o znowę. Przegrali wybory, ale mają jeszcze swoich ludzi u władzy. Jeszcze silne jest ich lobby!* - zdenerwował się generał. Chciał ucałować biurko, całym ciałem przytulić się do niego, ale zreflektował się, powstrzymał poryw uczucia. - *Dzisiaj zupełnie nie zgadniesz, kto za kim, a kto przeciw. Mieszmasz pojęć, osądów, miłości i nienawiści! Dekameron ! Nigdy nie myślałem, że „Oni” – są zaangażowani społecznie. No, to czegoś się przynajmniej dowiedziałem. Tylko czemu się mnie akurat uczeplił? I to teraz! Zaraz czas Lubki nastanie, ja na kanapę muszę, z młodym ciałem.*

- Demokracja zaczyna się nie od przemówień, a od własnego przykładu... - polemicznym tonem ciągnął Julij Julijewicz, mimo że nie było tu nikogo, kto chciałby się z nim spierać. – Skoro polityk prowadzi życie typowego burżuja, to kto mu zaufa, gdy mówi, że wierzy w ideę demokracji? To jakby palacz i pijak zaczął propagować zdrowy styl życia. Po wypiciu butelki wódki wyjdzie na trybunę, albo z okna na izbie wytrzeźwień zacznie wykrzykiwać polityczne hasła. Demokraci Europy jeżdżą na rowerach, motocyklach, autobusami, niedrogimi samochodami. A nie limuzynami klasy luks. Noszą ubrania średniej jakości, a nie światowych marek. Jadają nie w świetnych restauracjach, a w ogólnodostępnych miejscach dla klasy średniej. Piją wino nie po tysiąc dolarów za butelkę, a takie, jakie pije naród. Są dostępni, można ich krytykować, dotknąć.

Dulczykow nijak nie mógł zrozumieć, czego chce od niego ten gość. Arkadij Lwowicz był gotów mu pomóc, ale w czym? – *Dlaczego sobie wybrał moje uszy dla tych bzdur? Może „oni” mają jakiś swój program? Cel polityczny? Widocznie chcą legalizować w społeczeństwie swoje zasady? Prowadzą kampanię o przyznanie im prawa do związków w swoim kręgu? Ale co ja mam do tego? Dlaczego mnie odrywają od moich zadań? No niech będzie, dam moją bezterminową zgodę na ich wszelkie inicjatywy, ale zostawcie mnie za to w spokoju! Jestem zajęty czymś innym, zupełnie innym. Potrzeba mi jeszcze kilka milionów. A ten tu o demokracji. Tfu!*

- Nasz naród nie walczy o wolność. Masy nie domagają się jej z kijami w rękach. Czekają na Mawleńskich, Chakimedów, Lancowych, żeby im tę wolność przynieśli. Chcą otrzymać ją w marmurowej sali, przy dźwiękach hymnu państwowego, od ludzi w muszkach, w brylantach, w smokingach. Co za rozczarowanie! Pomyłka! Wolność nie przychodzi z góry, szanowny generale, ją trzeba wywalczyć z dołu. W bitwie! W ranach i siniakach. W protestach i buntach! Proszę przypomnieć sobie Napoleona. Właśnie on zredagował

pierwszą konstytucję Szwajcarii. Pierwsze słowa tego dokumentu napisał własnoręcznie: „Jeden za wszystkich. Wszyscy za jednego”. Oto treść najważniejszego dokumentu narodu! A nie wydumane propozycje jelicynowskich pismaków. Przy tym nasz naród przywykł żyć w niewoli. Woli być obrażonym niż wolnym. Odrzuca wszystko, czego nie zna, co wychodzi poza ramy tradycji kulturowej. Nie zakorzenił się w kraju powszechny protest mieszczan. A społeczeństwo bez reform jest martwe. Dlatego kultura użalania się jest w Rosji ważniejsza od kultury przemian. Reformy naszego układu toną w chęci oparcia się na cudzym ramieniu. Proszę spojrzeć na swoich urzędników, jak się całują. Niedawno w Jekaterynburgu trafiłem na bankiet z okazji wybrania nowego gubernatora. Cmokanie męskich pocałunków zagłuszało muzykę z estrady. Od siły objęć pękały szwy garniturów. Ślinili się od przesłodzonych toastów. Patetyczne przemowy przyprawiały o zawrót głowy. Ale czym są takie hołdy? Pocałunki? Pochwały? Pokłony? Wyznaniem miłości i namiętności, czy też oznaką pokory, poddaństwa, więzów? Jeżeli pan publicznie otrzymuje tysiąc męskich pocałunków, gorących, gwałtownych, i odpowiada tym samym, to kim pan jest? Człowiekiem bez morale? Bez kultury? Kimś, kto jest całkowicie bez zasad w podobnych sytuacjach? W miłości? A może w tych męskich czułościach pan szuka obrony dla swoich interesów, której życie i konstytucja panu dać nie mogą? Wówczas męski pocałunek jest dla pana jak obrządek samoobrony. Uznaniem publicznym pańskiego autorytetu. Pańskiego znaczenia w towarzystwie. „O, jak on się całował z panem W.! A ostatniego wieczoru jak czule żegnał się z Ł.! Albo jak się obejmował z K.! Widocznie jest kimś znaczącym w towarzystwie. To ktoś z powiązaniem!” Przecież to dziś najważniejsze. Tu nie ma żadnej wolnej miłości. Tu namiętność jest zupełnie innego rodzaju: socjalna, skorumpowana, obronna. Właśnie taka dwulicowość nas męczy ...

Tu Dulczykow spostrzegł, jak spokojne, jasne oczy Julija Julijewicza zaczęły płonąć. Zląkł się tego rozpalonego spojrzenia. - *Teraz stanie się coś nieprzewidzianego. Ale, co, no? Może przejdzie do „tego”* - błysnęło mu w głowie. Arkadij Lwowicz na serio się zaniepokoił. - *A jak się zachować, jeżeli on tego...?* - natrętna myśl nie opuszczała naczelnika. Cała scena wydała mu się dziwaczna. - *Pocałunek, męska czułość, jednopłciowa namiętność? Czego on konkretnie chce? Ten dziwny pan przyszedł wyraźnie nie pod ten adres. Nie wygonię go przecież, od zastępcy ministra przychodzi.*

- Ależ kochanieńki, nie złość się na rosyjski obyczaj. Tam, za granicą, jeszcze gorsze niespodzianki się zdarzają. No i co, że się mężczyźni całują? To się nazywa braterstwo, taka tradycja – powiedział generał, uśmiechając się w duchu.

- A dlaczego to braterstwo jest modne tylko wśród urzędników, znanych artystów i biznesmenów? Czemu wśród inżynierów, uczonych, taksówkarzy, lekarzy, księgowych, lotników, nauczycieli nie spotyka się tych szczególnych przejawów miłości braterskiej? Nie, szanowny generale, tu o coś innego chodzi. Dlatego poprosiłem o spotkanie z panem. W rosyjskim społeczeństwie, szczególnie w towarzystwie, często słyszy się, gdy ktoś chce oszkalować kogoś, napiętnować jego niegodziwe postępowanie, nieprzystojne cechy osobowości, czy uczucia, to z przyjemnością używa się słowa „pederasta”. Nawiasem mówiąc geje to oddane, wrażliwe osoby, jednostki tak bardzo różne od reszty nikczemnej ludzkości. Powszechna infantylność, głuchota i ślepotą, niezdolność dostrzeżenia w takich osobach oryginalności i głębi, wywołuje we mnie i moich przyjaciół poczucie głębokiej niesprawiedliwości.

- *Więc w taką hecę wpadłem, no?* – myślał Dulczykow. - *Na co mi to potrzebne? No ale ten czort, Żaspupin, jest blisko z ministrem, więc ten jemu może się poskarżyć. Byle mnie tylko biurka nie pozbawili. Nie sprzątnęli mego skarbu. Niechby jeszcze rok, no, choćby parę miesięcy. Jeszcze przyjdzie mi z nim na kanapie się kłaść... Zamiast Lubki! Wstyd! Ale co począć? W końcu, kto się dowie? A skoro z moim biurkiem czasem mam ochotę się obejmować, to czemu by sobie z „tym” nie pozwolić? Nie tak dawno myślałem, że gotów jestem dziesięć milionów dolarów stracić, byle biurko obronić. Czyżby piętnaście minut z tym tu nie było warte takich pieniędzy? O ile gorzej zostać bez biurka, niż znaleźć się na chwilę w łóżku z Julikiem. No, ma w końcu przyjemną skórę, ładne oczy. Tak czy inaczej, Dulczykow, trzeba coś mówić, robić, decydować. Czas mija, za pięć, siedem minut tabletki zaczną działać.*

- Poczucie niesprawiedliwości dotknęło nas – kontynuował swój wywód Kuziakina - gdy powołano „Związek Alternatywny”. Jego celem jest skupienie osób myślących podobnie na temat reformowania życia społecznego w Rosji. Jest to nadzwyczajnie aktualny dla kraju temat. Znaleźliśmy się na marginesie cywilizacji. Wszystko co u innych piętnowane, u nas jest upragnione! Co tam źle pachnie, u nas jest smakowite. Co u nich haniebne, u nas wywyższone. Niech pan wstępuje w nasze szeregi, Zostanie aktywnym członkiem naszego ruchu! A tak na marginesie, naszymi członkami są znane osobistości. Pan M. z rządu, pan K. z administracji prezydenta, Cz. i R. z Rady Federacji, członkowie zarządu prokuratury generalnej, niektórzy znani gubernatorzy, ministrowie i zastępcy ministrów, znani posłowie Dumy, prowadzący znane audycje telewizyjne, wojskowi. Nie chce pan ratować ojczyzny od kłamstwa i dwulicowości? Przed podwójnymi standardami? Pragnie pan żyć w przyjaznym państwie? Uznawanym przez społeczność międzynarodową?

- *Już mi w spodniach ciasno* – skonstatował Arkadij Lwowicz. - *Co ten się do polityki przyczepił? Niech powie wprost: chodźmy na kanapę poznać się bliżej. Lubka na mnie czeka. Organizm się domaga. Ale co mam odpowiedzieć na temat członkostwa w tej organizacji? Trzeba się jakoś wywieść. A czemu by nie wstąpić, skoro tyle znanych osób? A może to nasza partia, tylko w cieniu, za kulisami? A rządzą nią te same osoby? To już staje się nie do wytrzymania. Spodnie pękają...*

- Ciekawe byłoby dowiedzieć się, jakie byłyby moje obowiązki, za co, ehe, ehe, miałbym odpowiadać? Nad czym mieć pieczę?

- Pan jest audytorem. W zespole potrzebny byłby nam ekspert, który drogą pośrednią mógłby określić dochody interesującego nas obiektu. Ludzie z kręgu władzy, przewijający się przez kremlowskie labirynty zatracili poczucie więzi społecznej. Nie płacą i nie mają zamiaru płacić podatków od swoich dochodów. Na przykład większa część członków Rady Federacji czy Izby Niższej. Żyją jak bogacze Zachodu, jak milionerzy Wschodu. Jaki majątek ukrywają? Ile pieniędzy przejadają? Czy z własnego budżetu? Albo artyści estrady i sceny. Nierzadko otrzymuję listy, w których nadawcy oznajmniają, że gotowi są zapłacić dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt tysięcy za wieczór ze swoim ulubieńcem. Przekazuję je dalej. Ale bez odpowiedzi. Choćby ostatnio, w końcu listopada, przekazałem pewnej długonogiej piosenkarce propozycję: za wieczór w mieście niedaleko Moskwy pewien inwestor gotów był wyłożyć trzydzieści tysięcy dolarów. Prawie dwa miesiące milczy. Trzy dni temu spytałem: „Czy zainteresowała panią propozycja?” Odpowiedź: „Pan żartuje? Za takie pieniądze nie będę śpiewać”. Musimy wiedzieć zatem, ile biorą za koncerty? Czy płacą

podatki? Czy też te wszystkie pieniądze to szara strefa? Państwo się tym nie interesuje, lepiej się obściskować z artystami! Cmokać! Słynać z liberalizmu! Po co karmić naród w nędzy? Gdy sami syci i z układami. Właśnie tym będziemy się zajmować. Tu chcę przypomnieć panu o publicznych pocałunkach, czułościach, westchnieniach, toastach i tym całym aparacie wzajemnych powiązań. Im gorętszy pocałunek, tym silniejsze powiązania – tym większe sumy wyprowadzone spod kontroli fiskusa. Właśnie ci, którzy sami łamią prawo, najczęściej używają słowa „pederasta” w pejoratywnym, poniżającym kontekście. Jaka niesprawiedliwość! Po co oczerniać uczciwych, płacących podatki obywateli? Zdolnych, utalentowanych ludzi. A jeśli już używa się tego określenia, to niech ono będzie wymawiane z szacunkiem. Nie obrażamy przecież za określenie „poeta”, „muzyk”, czy „zakochany”. A oni? Chcieliby wdeptać w błoto „pederastów”. Co nimi kieruje? Zawieść wobec porządnych ludzi? Zazdrość o ich niezależność? Proszę się nie spieszyć, generale. Proszę się zastanowić. Pan jest potrzebny ojczyźnie. Walczmy wspólnie. Nie oczekujemy, żeby pan stał się... *takim*. Zapewniam pana, że tu liczy się tylko osobista decyzja. Uszanujemy każdą. Jest pan interesującym mężczyzną, wierzę, że w przyszłości sam pan poczuje ten szczególny rodzaj uczucia.

- *Całkiem niezły pomysł! Pod ich skrzydłami trząść politykami i artystami?* – zaskoczył naraz Dulczykow. – *K. z administracji prezydenta, M. – z rządu, G. i P. z Rady Federacji – wszystko wpływowi dygnitarze. Można na tym kupę pieniędzy zgarnąć. Biurko uratować! Umocnić pozycję. Podcholuzin obiecał ochronę w gabinecie ministrów, Kuziakina – w bardziej szerokim kręgu władzy. Udany dzień, Arkadiju Lwowiczu. Ale nie spiesz się. Najpierw trzeba wywieźć się na temat tej łoży. Kto tam najważniejszy? Kto rej wodzi?* – pocieszająca myśl, która zaświtała w głowie urzędnika federalnego, sprawiła, że powiedział co innego:

- Jestem gotów pomagać wam we wszystkim. Nie widzę powodu odżegnywać się od obowiązków państwowych. Pożyteczną myśl mi pan podsunął - umacniać rosyjskie prawo, podatki, ehe, ehe, zdyscyplinować, podnieść do wyższej rangi. Zgadzam się, nasza bohema nie żyje z deklarowanych środków. W luksusie się pławi, a do budżetu kopiejki przekazuje. Ale dlaczego drogi pan Żaspupin o tej sprawie ze mną dotąd nie rozmawiał? Widzimy się przecież co dzień. Na zebraniach poruszamy różne tematy. Może tu jakaś tajemnica się kryje? Pamiętam, kiedy do Moskwy przyjechał amerykański iluzjonista. Pałac kremlowski wynajęto na kilka dni, ehe, ehe. Średnia cena biletów wynosiła sto dolarów, a podatków z tego zero! Jak to tak, no? Może my w czyjeś interesy się wtrącamy? Czy to bezpieczne? Czasy niełatwe dzisiaj. U kogo szukać potem, ehe, ehe, obrony?

- Pan, panie Dulczykow, najpierw musi się zastanowić, czy włączy się w naszą sprawę, czy nie? A na pozostałe pytania z czasem otrzyma pan odpowiedź. Nie zostawimy pana, generale! Jest nam pan drogi. A nasz pocałunek wart jest prawdziwej miłości. Szczerej i trwałej! Do dziesiątego stycznia? Pasuje?

- Oczywiście! To bardzo w porządku, że czas na zastanowienie, ehe, ehe, mi pan daje. Jakżeby inaczej, a pomyśleć muszę. To odpowiedzialna decyzja. Proszę tylko powiedzieć, po co wam te informacje? Będziecie szantażować łamiących prawo? Przecież bez instrumentów władzy wykonawczej nic nie wskóracie? Do prasy podacie? Sam pan wie, jaka ona dzisiaj. Ten problem trzeba na samej górze poruszyć. W niebezpieczne rewiry wchodzić. To nie żarty Kiryła na przykład Melipowa kontrolować. Całe towarzystwo się na

nogi poderwie! Prasa zawyje! Demonstracje w Moskwie wywołają! Albo Marię Witułową! Wystarczy, że piersi odsłoni, nogi pokaże, a wszyscy nasi audytorzy porzucą swoje zadanie, zapomną o cyfrach i zaczną się onanizować. Niełatwe zadanie wymyśliliście. Bez najwyższej osoby nic nie zrobimy. Tu nie Ameryka! – stwierdził Dulczyk, a w duchu pomyślał: *- Tu wyraźnie prześwieca złote dno, Arkadiju Lwowiczu. To już posmak władzy, tak rosyjską elitą estrady i teatru móc potrząsnąć! Politykami! No? W ciągu miesiąca dziesięć milionów żywego pieniądza można zarobić. Piękna propozycja. Wspaniała! Nawet o wzwodzie zapomniałem. Teraz czuję, że szwy mi w spodniach puściły. Silne tabletki, do licha! A on o „tym” ani słowa. Czemu? Czyżbym się nie spodobał?* – z lekka obrażony zastanawiał się naczelnik.

- A więc spotykamy się zaraz po świętach? Niekoniecznie w biurze. Możemy, ehe, ehe, w restauracji „Nostalgia” na Bulwarze Pokrowskim? Tam omówimy pańską propozycję. Co pan na to?

- Umowa stoi. Idę.

- Zatem, ehe, ehe, do zobaczenia - rzucił Dulczyk i rozmarzył się. W naszych ministerstwach rzadko można spotkać urzędnika, którego nie poruszyłaby perspektywa zarobku. Zaczęły mu się przewijać przed oczyma znane twarze i sceny, w których z pogardą wymuszały na nich oświadczenie o dochodach, bądź szydziły z przedstawionych deklaracji. *- Jeszcze mi wszystko wyśpiewają! Wypatroszę kapitał tych kanalii. Przepompuję kapitał z ich jedwabnych kieszeni na moje zakonspirowane konta. Jeszcze zobaczą, co znaczy nazwisko państwowego urzędnika trzeciej rangi, najjaśniejszego księcia Dulczykowa! Jeszcze będzie im się ono po nocach śniło!* – roіło się w głowie generała.

Ledwie Kuziakini wyszedł, do gabinetu wpadła Luboczka Popyszewa. W rękach trzymała słoiczek truskawkowej konfitury. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i rzuciła:

- Co tak długo? Czekam i czekam. Mam iść od razu do łóżka? A w duchu pomyślała: *- No i dobrze, właściwie to wszystkie jedno.*

- *Dziesięć-piętnaście minut, nie więcej* – odezwał się do siebie w myślach Arkadij Lwowicz. *- Jeszcze dwoje czeka w kolejce, obiad z naczelnikiem kancelarii ministrem Piotrem Sapieżą, Machachoryn. Ten czort zdrowo mnie nastraszył. A co, jeśli on przez samego najwyższego zacznie działać? Wytoczy ciężkie działa? Wtedy bez posła Podcholuzina się nie obejdzie. Odnodworcowa z administracji prezydenta i Charina z centralnego okręgu federalnego na pomoc trzeba będzie wołać. Zresztą niech Piotr Piotrowicz też się włączy w sprawę. To człowiek ministra. W samym środku władzy zabezpiecza tyły. Dziś przy obiedzie muszę mu paczkę zielonych z okazji Nowego Roku wręczyć. Może dwadzieścia? No? W końcu to kusząca cyfra! Nie, zacznę od dziesięciu! Dziesięć tysięcy dolarów – też piękna sumka! A te pieniądze trzeba wydusić z Siemieniury. Niech bank nie z moich prowizji honorarium noworoczne urzędnikom płaci, a da mi ze swojego funduszu pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żebym mógł je rozdawać po piętrach ministerstwa. Bo jakże inaczej, no? Stój, Dulczyk! Jak mogłeś nie pomyśleć? Jutro trzeba wysłać kontrolę wszystkich struktur finansowych do fabryki cerkiewnej w Sofrino. Jutro! Raniutko! O ósmej już w fabryce! Na miesiąc! Piętnaście osób! Z prokuratury, MSW, skarbowki, służby celnej, FSB, banku centralnego, MNS, komisji rządowo-prezydenckiej, izby rozrachunkowej. Niech ryją. Łopatami i buldożerami! Tam można sporo znaleźć. Nie, jednak nie! Nie jutro, a zaraz, niezwłocznie!*

Żeby Machachoryna od mojego biurka odciągnąć. Gdy się dowie, że od jutra kontrola w fabryce, to czy będzie miał głowę, by pamiętać o biurku? Starczy mu czasu i siły? Skąd! Swojego będzie musiał bronić! A kim on jest bez biurka? Cwaniak wyższej kategorii! Takich kreatur w Rosji dziś tabuny. Tym planem można zyskać na czasie. Ale żeby ćwierć miliona od Machachoryna nie stracić, kontrolę trzeba zorganizować nie z mojego wydziału, a z piątej komisji generała Butylina. Ja będę w cieniu. Moja wersja: zajmuję się sprawą zdjęcia akcyzy na metale szlachetne dla potrzeb cerkwii prawosławnej! Tymczasem naprawdę, póki się nie rozliczy, palcem nie kiwnę. Po obiedzie zjawi się Podcholuzin i wtedy wszystkie warianty obronne pójdą w ruch. Już ja temu Machachorynowi pokażę! Dwa tygodnie się od kontroli nie ruszy, będzie miał związane ręce. A żeby mu jeszcze pokazać, jak się należy grzecznie zachowywać, pół miliona dolarów zażadam. Skoro mam być pośrednikiem między moim kolegą Butylinem a Machachorynem. Za to trzydzieści procent to absolutnie po bożemu. Umocnić sytuację jak należy, ot co!

Naczelnik już chciał podnieść słuchawkę bezpośredniego łącza z sekretarką, gdy usłyszał jej głos przed sobą:

- Arkadiju Lwowiczu, co mam robić? Do łóżka? Nie chce pan się odprężyć?

- Chwileczkę, ehe, ehe, Lubasza. Siadaj za biurkiem i pisz decyzję do podpisu naczelnika departamentu o kompleksowej kontroli fabryki w Sofrino. Zaczynaj od spisu imiennego rządowej komisji do sprawdzenia prawidłowości działania tego przedsiębiorstwa w kwestii płatności VAT, opłat celnych i tranzytowych. Możesz zakończyć przekazaniem do wiadomości centralnego okręgu miasta Moskwy, ehe, ehe, sprawdź wszystkie punkty handlowe, gdzie sprzedawane są wyroby cerkiewnej fabryczki.

- *Tam też żniwo może być wielkie* – radośnie przemknęło przez głowę generała Dulczykowa.

- Arkadiju Lwowiczu, może popracujemy po „tym” ... - zapytała z troską blondynka Lubow, a kąci jej nabrzmiątych ust koloru dojrzałej wiśni opadły. Wydawało się, że za chwilę zacznie płakać.

- Co z panią, Popyszewa? Proszę natychmiast siadać, ehe, ehe, i pisać. Na przyjemności będzie czas po pracy.

A w duchu pomyślał: - *Jak tak dalej żyć: napięcie w spodniach słabnie? Co, znowu tabletkę brać? Lekarze nie zalecają i nie ma czasu czekać. Zacznie działać za godzinę.*

Podszedł do okna, spojrzął na Marosiejkę i znowu w jego umyśle zaczęły się kłębić dziwne, poplatane myśli: - *Pokręcić by się wokół Santapkina. Biurko wicepremiera to potężna broń do przechwycenia strużki pieniędzy. Nie trzeba wiele! Raptem mały dren, szeroki na pięć centymetrów. No, dziesięć. Najważniejsze, to podłączyć się nie na zbyt długo. Nie na całe życie, jak ten Podcholuzin. Wystarczy pięć-sześć grubszych spraw. Na jakieś pięćdziesiąt-siedemdziesiąt milionów dolarów. Nie więcej! Cóż to jest w ogromnym wodospadzie pieniędzy w Rosji? Kropla! Nawet na pół kropli się zgodzę. Może nawet z takiej kropli więcej da się wyciągnąć niż siedemdziesiąt milionów. Nie będę się spierał. Proszę bardzo! W takim wypadku zgoda na pół, albo i ćwierć kropli? Proszę, dajcie rządowemu doradcy trzeciego stopnia, najjaśniejszemu księciu Arkadijowi Dulczykowowi jedną piątą kropelki! Nie chcecie? Odmawiacie? Macie słaby słuch? Więc sam wezmę! Rozumiecie? Słyszycie?*

Po czym nagle zaczął myśleć o czymś innym: - *A gdyby tak Kuziakina mnie do łóżka*

zaciągnął, no? Jak to się u nich robi? Kto kogo? Jak? Skąd, dokąd? Pięćdziesiąt lat przeżyłem, generała dostałem, w drodze tytuł książęcy, a w tym modnym temacie jestem zupełnie ciemny! – tu naczelnik uśmiechnął się, ale tak szczerze i radośnie, że panna Popyszewa pomyślała, czy nie zapytać szefa, dlaczego tak się serdecznie śmieje, ale się rozmyśliła: *- Jeszcze mnie zbeszta! A przede mną dwa lata nauki. Ze stypendium nie wyżyję!*

– A jeżeli mi się to spodoba? – ciągnął rozmyślania generał. – Kuziakin coś tam na ten temat przebąkiwał. Więc co, ja do dziewczyn stracę pociąg? W końcu i teraz nie bardzo mnie ciągnie, hm...

W tym momencie panu Dulczykowi zaświtała inna myśl: *- Dlaczego Wadbolskiego nie poprosiłem o tytuł hrabiego? Hrabia: brzmi bardziej przekonująco. Może hrabia to polski tytuł? Może niemiecki? Z historią u mnie nie najlepiej! Muszę Mitce dać pieniądze, żeby kupił trzydzieści metrów mocnej liny. Nie tylko dla mnie na wypadek ewakuacji, ale żeby biurko z pożaru na Marosiejkę spuścić. Czy taka wspaniała myśl przysłaby innym do głowy? Nie myślę. Pewne, że nie! Jeśli nie, to będę jedynym pracownikiem w urzędzie, który będzie mógł przy swoim biurku dalej swoje zadania wykonywać. To co, że chłodno? Można w kufajce, w reniferowych walonkach, w uszance z nerek przyjmować interesantów. Drogie ubranie pozwoli podnieść stawkę za usługi. A zatem, jeśli nasz urząd spłonie, a ja się uratuję, to póki innych po gabinetach nie rozlokują, będę jedynym urzędnikiem na służbie, co? Nie będzie ani ministra, ani piętnastu jego zastępców, ani dwudziestu siedmiu naczelników departamentu. Tylko ja jeden! Jedyny doradca państwowy trzeciego stopnia, najjaśniejszy książę Arkadij Dulczykow. Jak dumnie to brzmi, nie? Sam będę podejmował poważne decyzje! A ile pieniędzy wpadnie do moich kieszeni? Więc może spowodować pożar? Podpalić? Ale jak podpalić? – pomyślał z przestachem Dulczykow. - Po prostu! Czerwonego kura podrzucić. Rozliczyć się z Mitką i niech płonie nieszczęsny gmach! Ulica Marosiejka dość wąska, taka tu masa samochodów i przechodniów, że strażacy zdążą dojechać dopiero na pogorzelsko. Z całego ministerstwa zostanie jedynie naczelnik Dulczykow ze swoim biurkiem, pieczęciami i papierami. No, jak, niezłe, nie? Pytam cię, Arkadiju Lwowiczu, czy to dobry pomysł? W takim układzie sekretarka będzie zbyteczna. Po co świadkowie? A poza tym, gdzie kanapę postawić? A bez niej, pytam, po co sekretarka? Co miałyby niby do roboty? Ulica sama ludzi w kolejkę ustawi. Zapisy według rangi urzędzi. Tak, trzeba to z Mitką obgadać. Bez budynku i sekretarki służbę kontynuować.*

- Co dalej, Arkadiju Lwowiczu? –przerwała jego rozmyślania Popyszewa.

- Zaraz, co ja jej kazałem robić? – zamyślił się naczelnik. - Aha! Sofrino i Machachoryn!

- Napisałaś decyzję o kontroli?

- Napisałam. Według szablonu, jak zawsze – odpowiedziała. Nie wyglądała na zmieszaną pracowitością naczelnika w tak ważnym momencie

- A listę członków międzyresortowej komisji sporządziłaś?

- Nie. Kogo zapisać? Tylko pan zna nazwiska.

Przez dziesięć minut układali razem listę.

- A teraz co? – Luba Popyszewa patrzyła na niego z wyrazem uległości na delikatnej twarzyczce.

- Idź na kanapę. Ja zaraz, ehe, ehe, podejść.

Sekretarka pokornie zniknęła w apartamencie.

Żadnego napięcia w spodniach. Co robić? – Dulczykowi zaczął się zastanawiać. - Może dać jej sto dolarów, żeby sobie poszła? Nie, sto to za dużo. Gdzie tam sto! Dla niej to kapitał! Przecież dostaje pensję. Wprawdzie tyle co nic - sto siedemdziesiąt dolarów miesięcznie. Ale przy moim burku się pożywi. Podrzucam jej. Drobnicę, to fakt, ale przecież ma klientów! Dam pięćdziesiąt? I tak chciałem dać jej pięćdziesiąt na Nowy Rok. W prezencie. Żeby sama sobie coś kupiła. Może dam jej teraz? A jeżeli do Nowego Roku Mitka urząd podpali? Nie będę miał żadnych zobowiązań. Wtedy każdy pójdzie swoją drogą. A w ogóle czego mam się wstydzić? Jest napięcie, albo go nie ma. Mogę, albo nie mogę. Doświadczona kobieta zawsze podniesie ciśnienie. Taak, Arkadiju Lwowiczu, idź, jakoś to będzie. Amerykańska medycyna czyni cuda. Może tabletki drugi raz zadziała? Idę!

Dodając sobie otuchy takimi myślami naczelnik skierował się do służbowego apartamentu i zgasił światło. Dulczykowi nie lubił tego robić przy jaskrawym świetle – zostawił jedynie słabiutką lampkę nocną. Powoli rozebrał się, mundur powiesił starannie na drewnianym wieszaku. Stwierdził, że żadnego napięcia nie czuje, jednak nie zastanawiając się wiele zanurkował pod kołdrę. Ledwie dotknął młodzieńczego ciała Lubaszki Popyszewej, gdy obsypały go pocałunki i pieszczoty.

Młoda kobieta, jak się można domyślać, nie była szczególnie zakochana w Arkadiju Lwowiczu. Trzy lata wcześniej przyjechała do Moskwy z prowincjonalnego Gdowa nad Jezioro Czudskim i ponad rok była utrzymanką naczelnika wydziału paszportowego jednego z oddziałów północno-wschodniego rejonu stolicy. Historia z poważnym urzędnikiem milicji skończyła się tym, że zameldował ją w jednym z hoteli robotniczych przy budowie metra, dał blondynce całe tysiąc rubli i pożegnał się znalazłszy nową przyjaciółkę., dziewiętnastoletnią dziewczynę z obwodu lipieckiego. Ale do pierwszego dobroczyńcy Popyszewa też nic nie czuła. Przypadkiem go poznała u znajomej z Wielkich Łuk w Otriadnym. Łysy milicjant długo się nie zastanawiał, zaprosił Popyszewą do siebie na herbatę. I tak już została smarkuła na Niżniej Masłowce długie piętnaście miesięcy. Prowincjonalne dziewczę nie miało gdzie mieszkać, a wielkoduszny oficer nie wystawiał jej za drzwi, karmił i poił, o pieniądze nie pytał. Co prawda swobodnie korzystał z niej jako pomocy domowej i nałożnicy, lecz to było za obopólną zgodą, co prawda zawartą nie wobec oficjalnej instytucji, a przy milczącej zgodzie samej lokatorki. Czy zaś on sam miał do niej jakieś uczucie, trudno było stwierdzić, ponieważ był bardzo skrytym mężczyzną. Przy tym wszystkim miało się wrażenie, że mieszkali ze sobą dla wygody. Na niego zawsze czekała zadbana młodzieńca kobieta, niewiele mówiąca, bez pretensji. Cokolwiek jej podrzucał, zawsze się cieszyła. Sama nie szukała pracy, ani szkoły, ani też własnego mieszkania, lecz innego kawalera także nie. Miała bardzo prowincjonalny styl życia, spokojny, bez pośpiechu i wielkich oczekiwań, dokładnie taki sam, jak w rodzinnym Gdowie. Przy czym urzędnik paszportowy wykorzystywał ją według własnej wygody, a bojaźliwa młoda osobka, poza tym, co jej dawał, absolutnie niczego nie żądała. Nigdy go o nic nie prosiła. Lubow Popyszewa była typowym „pokornym człowiekiem rosyjskim”. Co dał Bóg, przyjmowała. Ale była w ich stosunkach jakaś tajemnica. Młodzieńca dziewczę znad Jeziora Czudskiego obdarzone było dużym biustem. Gdy koledzy odwiedzali mieszkanie naczelnika paszportów, nieomal każdy odciągał go na stronę i szeptał:

- No stary, gratuluję! Jaki ona ma wspaniały biust! Rozkosz! Gdybyś zamierzał ja rzucić, daj

mi znać. Będę wdzięczny!

Poza tym, urzędnik wydziału milicji nie raz był świadkiem, jak koledzy pożądliwie oglądali jego nałożnicę. I to tak, że zazdrość go brała w głębi duszy diabelna. Była to zazdrość nie miłosna, a o własność. Władał tą bezwolną, prowincjonalną gąską jak luksusowym przedmiotem. Jednak zakusy innych zerkających łakomie na jego własność wywoływały w nim jak w starym dobrym posiadaczu ziemskim, głębokie namiętności i emocje. Ostatnimi miesiącami coraz rzadziej zapraszał przyjaciół, a także przestał chodzić w gości ze swą damą. Luboczka Popyszewa o tych jego rozterkach nie miała pojęcia. Tak samo spokojnie się z nim rozeszła, jak i zesłała. Bez słów i obrazy. Zdołała jedynie rzucić: „Na razie!”. Jednak było zupełnie niezrozumiałe, do kogo to „na razie” adresowała: do mężczyzny, samej siebie, czy do upływającego czasu? Po kilku dniach blondynce napatoczył się podstarzały, samotny naczelnik pociągu numer szesnaście Moskwa–Jekaterynburg. Pierwsze miesiące woził ją po trasie wschodniej. Podrzędny urzędnik kolei państwowych miał wszelkie powody, żeby brać ją ze sobą w drogę. Z jednej strony bał się ją stracić, a z drugiej zostawić samą w swoim zagraconym mieszkanku. Mało to się mogło zdarzyć? Rdzenny Moskwianin wiedział, że współczesne życie pełne jest niespodzianek. Dopiero później, zrozumiawszy najwyraźniej, że ma obok siebie zupełnie niegroźną istotę, pozwolił jej mieszkać u siebie. Tu także kryła się pewna tajemnica: biedak tak szczerze i serdecznie angażował się w czasie spotkań z młodą damą, próbując wykazać swymi męskimi możliwościami, że wkrótce ów sześćdziesięcioletni weteran żelaznych magistrali musiał stanąć wobec oczywistej prawdy: kończy się! Umiera! Zatem zgodę na mieszkanie u siebie dał Popyszewej faktycznie z jednego powodu: żeby dochodzić do siebie w delegacji! Męskie zmęczenie kolejarza wschodniej trasy wspaniale wpłynęło na dalsze losy dziewczyny z nad legendarnego jeziora. Jak tylko dotarło do niego, że się wykańcza, naczelnik wschodniego ekspresu zaczął nadrabiać zmęczenie wzmożonym zainteresowaniem przyszłością utrzymanki. Załatwił jej studia wieczorowe studia na wydziale zarządzania instytucjami rządowymi, pomógł dostać się do niższego rangą urzędu, w którym raźnie i pożytecznie służył społeczeństwu Dulczykow. Przy rozstaniu wręczył jej piętnaście tysięcy rubli, uronił łezkę i czule poprosił, żeby nie zapomniała wspólnie przeżytych dni. Lubasza Popyszewa cmoknęła go w policzek i ze słowami „dziękuję za wszystko” bez odrobiny żalu wyniosła się z mieszkanka, powtarzając beznamiętnie swe życiowe motto: „*No i dobrze, a co za różnica? ...*”. Po kilku miesiącach roztropny naczelnik oddziału kadr urzędu na Marosiejce zabrał ze sobą blondynkę na niedzielny wypoczynek do pensjonatu dla urzędników skarbowych pod Kaługą. Przy czym więcej już się z nią nie spotykał, ale pomógł: załatwił jej posadę sekretarki u Arkadija Dulczykova.

W słabym świetle apartamentu erotyczne sceny ciągnęły się, nie prowadząc jednak do żadnego efektu. Popyszewa usiłowała różnymi sposobami podnieść ciśnienie Arkadija Lwowicza, ale bez rezultatu. Generał już zamierzał wstać i zapomnieć o wszystkim, gdy nagle przyszła mu do głowy myśl: - *Może nastrój podniosą trzy paczki dolarów! Nowych, w banderoli? Z portretem Jaksona? Albo fioletowe banderole euro?* Natchniony niespodziewanym pomysłem naczelnik wyskoczył z łóżka, otworzył teczkę, wyciągnął z niej trzy paczki z Jaksonem i dwie z banderolą euro, opieczętowane w banku „Allegro”. Rozłożył banknoty na nocnym stoliku, włączył światło, żeby je lepiej widzieć, i znowu wszedł pod kołdrę. - *No, teraz Lubka, trzymaj się!* – pomyślał radośnie. - *Czyżby tyle pieniędzy chciał*

mi podarować na Nowy Rok? – pomyślała natomiast blondynka. – Na co mi one? Aż tyle? Śmieszne! Czyżby za moje starania? Mężczyźni są dziwni. Ale co mi tam? W tej chwili rozległ się dzwonek komórkowego łącza. Nikt spoza najbliższego otoczenia nie mógł znać numeru. - Tfu, całkiem nie w porę. Już po ciele rozeszło się podniecenie. A tu ten przeklęty dzwonek. Znowu musiał wyskoczyć z łóżka. Wyciągnął z kamizelki „Panasonic” i nacisnął przycisk. Dzwonił Piotr Piotrowicz Sapięha. Prosił, żeby przyjaciel wpadł do niego na pół godzinki, by zjeść razem obiad. Arkadij Lwowicz zgodził się, ale zaproponował, by spotkali się w restauracji. Na tym rozmowa zakończyła się. Naczelnik wyłączył telefon i znowu wszedł do łóżka. - Teraz się uda. Nawet czasu jest dość - uśmiechnęła się do siebie. Młoda osoba znowu rzuciła się na urzędnika. Obdarzała go taką erotyczną gwałtownością, że kanapa kołysała się pod nimi jak okręt przy dziewięciostopniowym sztormie. Ale efektów jak na razie nie było.

- Lubasza, nie zakrywaj mi swoimi piersiami i włosami oczu. Muszę stolik widzieć!

- *Co on myśli, że mu pieniądze zabiorę, zanim mi je da? To ci wymyślił! Co ja mam z nim robić?*

Lubow Popyszewa odsunęła się za plecy pana Dulczykowa, żeby nie zasłaniać i z nową siłą przypuściła erotyczny atak. Nagle naczelnik rzeczywiście poczuł jakąś napływającą falę i lekkie napięcie. *Zaczęło się!* – pomyślał. Ale napięcie było jeszcze zbyt słabe i usiłowania dziewczyny znad Jeziora Czudzkiego nie ratowały sytuacji. *Co się dzieje, do jasnej cholery? Może ten Kuziakin mnie zczarował?* Tak niespodziewana myśl poraziła go całkowicie. Biedny generał aż się rozkaszał. - *A to kanalia! Co on ze mną zrobił? Jak to tak? Jak śmiał, no? Jak ja mam dalej teraz żyć? Może, spróbować, żeby się upewnić? Żeby wiedzieć na pewno, co mi dokucza? Żeby się nie ośmieszył jako urzędnik państwowy trzeciego stopnia. Najjaśniejszy książę Arkadij Dulczykow! Oczywiście, trzeba eksperymentować. A jeżeli okaże się, mój Boże, że...? I jak tu nie zwariować? Ale po co zgadywać? Trzeba siebie wypróbować! Co też mi przychodzi robić w tej Rosji? Czemu ja się właśnie tu musiałem urodzić?*

Naczelnik odsunął od siebie natrętą młodą kobietę, uniósł się na łóżku i ledwie słyszalnym głosem powiedział:

- Moja droga, przynieś mi szybko męski portret.

- Jaki, Arkadiju Lwowiczu? Z pana ściany? Portret prezydenta?

- Nie, tylko nie jego! – wystraszył się generał. - Co, nikogo innego nie ma? Tyle kalendarzy na Nowy Rok przyniosłem. Poszukaj, moja droga, tylko prędko.

- *Nigdy do mnie nie mówił „moja droga” - pomyślała zdziwiona Popyszewa. – Co z nim? Czyżby chciał się żenić? Ale przecież ma rodzinę. Na co mi on. Ale do czego mu portret mężczyzny? Może chce przysięgać?*

Wstała z kanapy i goła poszła do schowka, gdzie leżały noworoczne kalendarze. Znalazszy kalendarze, blondynka zaczęła je kartkować. Wzięła pierwszy, na którym zobaczyła twarz mężczyzny i zaniósła do apartamentu.

- Znalazłam, Arkadiju Lwowiczu, taki.

- Otwórz. Nie ma tam członków rządu?

- Chyba nie.

Otworzyła naścienny kalendarz na 2004 rok. Na urzędującego generała spoglądał ze zdjęcia uśmiechnięty szaman telewizyjny Miron Pripozzer, znany celebryta, pojawiający się

na licznych imprezach w stolicy pod ksywką Czerwona Skarpeta.

- *Czemu mi akurat Mirona przyniosła? Ale właściwie, czemu nie? No, Dulczykowi, śmiało! Co z tego, że pierwszy raz? Widzisz, on się nawet do ciebie uśmiecha - gładka twarz, przebiegłe spojrzenie, wszystko podniecające! Kto wie, jak on na moje zdrowie wpłynie? A nuż korzystnie? Przecież ten Kuziakini mnie wręcz oczarował – rozmyślał urzędnik Dulczykowi.*

- Lubasza, powieś kalendarz na ścianę przede mną, żebym go widział cały czas. Ma być przed moimi oczami! A ty się kładź za moimi plecami, jak przedtem! Powinno się udać.

Blondynka milcząc, z lekkim zdziwieniem, położyła się i znowu rozpełtała się erotyczna burza. Dulczykowi całym ciałem odbierał ten atak czułości, a przed jego mętnym wzrokiem majaczył jak żywy Pripozer! A wyglądał teleshaman nawet nieco młodziej niż na ekranie: szyja podciągnięta, policzki i czoło wygładzone, włosy czarniejsze, ramiona węższe. Wydawało się, że nawet chce coś powiedzieć do generała, słysząc wręcz było obce słowa. Ale generał nie znał żadnego obcego języka oprócz kilku słów po niemiecku, więc nic nie zrozumiał, za to pomyślał: - *Czaruje mnie też, czy co? W tej chwili Dulczykowi poczuł prawdziwe napięcie, które nawet się wzmagalo. Ciśnienie zaczęło rosnać, bielizna z lekka się naciągnęła! Pojawiło się pożądanie i rosło. Wydawało się, jeszcze chwila i wszystko się zacznie. Uśmiechający się teleshaman nawet zaczął jakby wołać dokądś Arkadija Lwowicza. W jakąś kuszącą zagraniczną dal. I Lubasza Popyszewa pomyślała, że musi jeszcze ciut – ciut, naprawdę niewiele dodać żaru, żeby akcja wreszcie się zaczęła. Ale ciśnienie wprawdzie wzrosło, lecz, niestety, nie dość. Poprzeczka nie została osiągnięta i tak ważny moment nie został wykorzystany.*

- *Tfu, do czorta – pomyślał. - Co się ze mną dzieje? Jak to zrozumieć? Amerykańską tabletkę łyknęłam, młoda, piersiasta dziewczucha mnie całego od stóp do głów wycalowała, na kuszące pieniądze Europy i Ameryki do woli się napatrzyłam, pod nosem mam portret teleshamana Mirona, a efekt żaden! Jak to możliwe? Czyżby Machachoryn? Instynkt mnie przytłoczył? Moje zagrożone biurko? Poczucie niebezpieczeństwa? Tak, biurko! Biurko! Oczywiście, że biurko! To ono mi przeszkadza się skupić!*

W tym momencie generał przypomniał sobie, że gdy obejmuje biurko i pieści się z nim, napięcie zawsze się wzmagalo. Nierzadko sprawa dochodzi do takiego punktu, że aż czuje szum w uszach. - *Może z nim spróbować, co? Zobaczyć co będzie? – zaświtała mu myśl. – Czego się wstydzić? Co mi tam sekretarka, tfu!*

- Lubasza, sprawdź, ehe, ehe, czy wśród kalendarzy nie ma zdjęcia albo obrazu biurka? Jak znajdziesz, przynoś tu! Na ścianę, obok Mirona Pripozera.

Tu popatrzył na zegarek. Do spotkania z Sapieha zostało dwadzieścia minut. - *Może zdążyć? Kobieta z nad Jeziora Czudkiego wniosła do apartamentu kalendarz i powiesiła go na haczyku nad nocnym stolikiem. Generał Arkadij Dulczykowi z drzeniem czekał na ten wzruszający obraz. Gdy ujrzał przed sobą biurko narysowane przez nieznanego malarza, natychmiast pomyślał: - Czy to nie moje biurko było modelem dla tego obrazu? Całkiem podobne, no? Wprost moje! Mój karmiciel! Prawdziwe generalskie biurko! Najdroższe! Któż to je namalował i kiedy? I ile w nim energii, ile siły! Jaka niezwykła aura unosi się wokół!*

Tu poczuł, jak trzeszczy jego osobista bielizna. Napięcie wzrosło do szczytu. Oczy zaślniły, zwilgotniał wzrok, na kark wystąpił pot, w gardle poczuł suchość, rzadkie, z lekka podfarbowane włosy stanęły dęba.

- Lubasza, szybciej, wskakuj w do łóżka, gaś światło, zaczynamy! – rzucił z niecierpliwym pośpiechem. A sam pomyślał: - *No, to dowiedzione jest eksperymentalnie: odtąd mogą sypiać tylko z moim biurkiem! No ale jak to ma wyglądać?*

Pierwsza z apartamentu wyszła Popyszewa. Jej nieco ironiczne spojrzenie nie szło w parze ze spokojem myśli: - *Zaraz wychodzi, a zasnął. Muszę za parę minut go zbudzić, bo się spóźni. Potem się rozedrże, nawymyśla - krążyło jej w głowie. – Zawsze z trudem się budzi, jak po solidnym pijaństwie. Dzisiaj Arkadij Lwowicz zachowywał się wyjątkowo dziwnie. A to jedno, a to drugie... Czyżby wszystkie chłopcy były takie? Jak mi zaproponuje pieniądze, odmówię. Na co mi taka kwota? Schowek zawalony. No, dwadzieścia dolarów, no, pięćdziesiąt. Ale więcej nie wezmę. Co, ja niby mu się sprzedaję? Na co mi taki mężczyzna na całe życie? Jak przed każdym pójściem do łóżka będzie tak wydziwiał, to długo nie wytrzymam. A jak komicznie na tego z telewizji patrzył! Oczy tak dziwnie wytrzeszczał, omdlał z zachwytu. No, jakby się zakochał! No, tak wyglądał. Pierwsze widzę u mężczyzny coś takiego. No i dobrze, a co to za różnica? ...*

Złożyła starannie gazetę, w której był artykuł o X, odpowiedziała na służbowy telefon, że naczelnik jest na zebraniu, podciągnęła rajstopy i podeszła do okna i popatrzyła na Marosiejkę. Wpatrzona w tłum pomyślała: - *Wszyscy dokądś pędzą, lecą, ale dokąd? Czemu tak prędko? Na złamanie karku! A przecież każdy znajdzie się tak czy inaczej dokładnie tam, gdzie rzuci go los. Choćby krowy doić, na grzyby z koszykiem chodzić, choć obcasy na ulicach stolicy ścierać, czy o piątki się zabijać. Szukać narzeczonego, pięknej sukienki, lepszego losu. Wszystko na próżno. Jeśli cud ma się zdarzyć, to się zdarzy. Szczęście znajdzie cię w najmniej oczekiwanym momencie. Nawet w Gdowie! Już pora budzić naczelnika. Oj, jak chrapie! Ciężko! I kaszle! I poświstuje! Tak mój dziadek i ojciec chrapali. Dzieciństwo mi się przypomina. Słodko mu we śnie, czy łyzy gorzkie wylewa? No i dobrze, a co to za różnica? ...*

Lubow Popyszewa powoli wróciła do apartamentu.

Dulczykow spał. Miał wyraziste, krótkie sny. Obrazy przesuwaly się przed jego oczyma tak realne, że nigdy by nie pomyślał, iż wszystko, co się z nim dzieje, było nierzeczywiste, wirtualne. A śniło mu się coś niewiarygodnie nierealnego: z biurkiem pod rękę, które zaczął nazywać żeńskim imieniem Dusia, wchodził do jednego z drogich moskiewskich butików przy prospekcie Kutuzowa. Figura Dusii była zupełnie zmieniona, a twarzy nie mógł zobaczyć. Kryła się bowiem za jakimiś zapisanymi maczkiem papierami. Tylko ciemne oczy błyszczały, a ich tajemniczy blask przypominały generałowi poczerwiałe listwy zamków jego szuflad. Szukali dla niej wieczorowej sukni. Biureczka Dusia była istotą kapryśną. Praktycznie nic jej się nie podobało. Rozpieszczona kobieta z obrzydzeniem przerzucała drogie stroje, jak urzędnik z kwaśną miną przegląda nudną korespondencję. Wokół niej skakały stylistki, obsługiwali ją menedżerowie, modne rzeczy przynosiły jej wyszkolone, surowe, ale zawsze z uśmiechem na twarzy ekspedientki. Każda kreacja kosztowała powyżej dwudziestu tysięcy dolarów! Ale ona, gdy usłyszała taką cenę, nie chciała już przymierzać. Na pytanie: „Co pani może się spodobać?” – podnosiła rękę do góry, dając do zrozumienia, że zgodzi się tylko na coś niezmiernie drogiego. W sensie ceny i jakości, ale przede wszystkim ceny. Zatem zademonstrowano jej stroje powyżej pięćdziesięciu tysięcy

dolarów, - lecz one również nie wzbudziły w niej zainteresowania. Wobec tego przyniesiono suknie powyżej siedemdziesięciu tysięcy. Przyjęła je obojętnie. I dopiero, kiedy oznajmiono jej: „Proszę spojrzeć, łaskawa pani, na ten najdroższy kostium. Kosztuje sto tysięcy dolarów!”, z błyskiem w oku przelotnie obejrzała kreację, po czym rzuciła od niechcienia generałowi Dulczykowi: „Niech pan zapłaci, naczelniku! Czy też dał pan pieniądze wcześniej? Właśnie tak robią noworuscy! Ale bardziej stosownym byłoby nabyć cały sklep. Z personelem, kolekcją i budynkiem. Tylko taka filozofia mnie pociąga. Nie wybaczę panu, generale, jeżeli pan tego nie zrobi. Jeśli nie wykupi pan wszystkich sklepów na Prospekcie Kutuzowskim”. Po takim ultimatum z absolutnie aktorską gracją, zupełnie jak nie mebel, przeszła do przymierzalni. Oszołomiony Arkadij Lwowicz zaśłabł: „Jak to, no? – przemknęło mu w osłupiałej jaźni. To naprawdę się dzieje? Jakieś czary! Jakby zły czarownik wmieszał się w tę historię. Z przebieralni wyszła już nie biureczka Dusia, a... młody mężczyzna. Wyglądał jak kaukaski arystokrata. Jak noworuski, wchodzący do genewskiej restauracji „Babilon”, jak stuprocentowy kremlowski urzędnik w prezydenckich progach, jak zwycięski gracz w kasynie „Monte Carlo”. Blask tego przystojniaka w pierwszej chwili poraził wzrok pana Dulczykowa. Nie wolno patrzeć w słońce! Ale gdy ten podszedł bliżej i jasność przygasła, Arkadij Lwowicz rozpoznał w nieco kobiecej twarzy nieznanego podobieństwo do Żaspupina! - *Jak to?* – krzyknął we śnie generał. - *Gdzie jesteś, Dusiu?* Rzucił się do przymierzalni, ale żadnego śladu biureczki nie znalazł. Obejrzał się – przed nim stał ten sam wspaniały typ, z twarzy przypominający zastępcę ministra departamentu, w którym pracował Dulczyk. Po chwili generał usłyszał padającą z jego ust groźbę: „Jeżeli odmówisz współpracy z Kuziakinem, odbierzemy ci twoje wspaniałe biurko”.

W tym właśnie momencie blondynka Popyszewa leciutko trąciła go w ramię.

- Proszę się obudzić, Arkadiju Lwowiczu. Musi pan iść na spotkanie.

- Nie, nigdy! Nie oddam biurka! Żebrakiem zostanę, ale on nie zobaczy mojego biurka! A tę Duśkę, kanalię, zdrajczynię, ja jeszcze nauczę! – krzyczał urzędnik wydziału fiskalnego. Tak głośno i z taką złością, że gdowianka poważnie się złękła.

- Jaka, przepraszam, Duśkę? – zdziwiła się.

- Wiem o kim mówię. A ty, Lubasza, ehe, ehe, idź. Idź! Ubiorę się i pobiegnę, sprawy załatwiać. Niech przychodzą po obiedzie. Wyjdę przez schowek. A niech Mitka zabierze mnie spod wejścia. Mam z nim do omówienia pewien drobiazg. I jeszcze jedno: jeśli zadzwoni Podcholuzin, daj mu mój numer na komórkę, a zespołowi barguzińskiemu przekazaj moje zarządzenie, że mają wracać i zamykać dochodzenie z czystym protokołem. Jasne?

Rozstali się w milczeniu.

Ale sekretarka wróciła prawie natychmiast.

- Arkadiju Lwowiczu, Guś płacze. Prosi, żeby go pan chociaż na sekundę przyjął.

Protegował go Tryrogow z Sądu Arbitrażowego. Przydatny człowiek, ten naczelnik sądu! Prowadzi sprawę prywatyzacji Elatmińskiego Kombinatoru Metalurgicznego. A tam mam swój interes, nie? – zaświtało naczelnikowi w głowie. - *Trzeba wysłuchać, co tam u nich...*

- Proś Lubaszka, pana, ehe, ehe, Gusia. Ale u mnie w gabinecie ma nie płakać. No i czas ograniczony.

Do gabinetu wszedł młody człowiek, nie więcej niż trzydziestoletni. Wysoki, o przyjemnej powierzchowności, modnie ubrany. W ręce trzymał lśniącą lakierowaną teczkę. - *Nie*

wierzę, żeby ten typ płakał – pomyślał generał. - *Widocznie Lubaszce sto dolarów odpalił, więc wyła: „Guś płacze! Guś płacze!” Każdy o swoje podwórko zabiega. Sapeha parę minut poczeka. Trzeba mu dziesięć tysięcy przygotować.*

- Taak, słucham pana, młody człowieku. W czym mogę pomóc?

- Ja od pana Tryrogowa.

- Doskonale znam tego sympatycznego prawnika. Uważam go, ehe, ehe, za swego przyjaciela. Proszę u się kłaniać ode mnie. Co pana do nas sprowadza?

- Szukam dojścia do Centrobanku. Interesuje mnie naczelnik departamentu regulacji walut, pani Iwaszczenko. Czy mogę mówić otwarcie?

- Tak! A pana problemu nie da się rozwiązać, ehe, ehe, inaczej? To niezwykle trudna osoba. Proszę przedstawić sedno sprawy, ale krótko. Mój czas jest ograniczony.

- Mam trzy fermy kurze w Nieczernoziemiu. To dochodowy biznes, ponad tysiąc miejsc pracy. Dogadałem się w sprawie kupna analogicznych zakładów w Czechach, żeby być bliżej Europy, nie biorę żadnych kredytów. Pieniądze na ten kontrakt biorę ze swoich środków obrotowych. Czeska kompania zmienia postać prawną, staje się filią rosyjskiej firmy, to znaczy, przestaje płacić podatek dochodowy w Czechach, a zaczyna płacić go w Rosji. To korzystne dla budżetu krajowego, ale nie dla tej kanalii Iwaszczenko! Co można zrobić, panie Dulczykow? Tej umowy kupna nie mogę odciągać w nieskończoność. Już cztery miesiące czekam i karmię Czechów bajkami o niewzruszonej rosyjskiej biurokracji, ale oni nie chcą dłużej znosić naszej niegospodarności. Sprzedaż i kupno firm to na świecie całkiem ustabilizowany rynek, jedyny w swoim rodzaju. Chcę zapłacić, tylko jak i komu? Iwaszczenko bierze pieniądze wyłącznie od swoich znajomych. Może ma pan do niej dojście?

- Jaką sumę gotów pan wyłożyć?

- Trzy procent od ceny sprzedaży. To sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Takie pieniądze, młody człowieku, u Iwaszczenko żadnego, ehe, ehe, zainteresowania nie wywołają. To dla niej drobne.

- Za co tej kanalii w ogóle płacić? Przecież jest przepis! On powinien działać. Dopóki w Rosji na urzędników nie można będzie składać skargi do sądu, żadnych pozytywnych zmian nie będzie. Sto pięćdziesiąt tysięcy też mało! Za co? Może łatwiej mi będzie dziesiątka zielonych studentom podrzucić, żeby jej nogi połamali, wątrobę odbili, zęby do muzeum antropologicznego wstawili. Na rok do szpitala odprawili!

- Jak to? Są takie, ehe, ehe, organizacje? Nigdy bym nie pomyślał, że studenci takim biznesem się zajmują - udał zdumienie Arkadij Lwowicz. A w duchu pomyślał: - *Bardzo niebezpieczny młodzieniaszek. Tak na oko całkiem przyjemny, ale ile w nim nienawiści i złości! Bandzior! Zwyrodnialec! Ale protegowanemu Tryrogowa muszę pomóc. To nie moja sprawa, ale w Elatmie mam kilka milionów dolarów. Choć temu Gusiowi warto by łeb ukreć. Sam bym dał dziesiątka! I nawet bym dorzucił! Jaki sprawiedliwy! Kurami na prawo i lewo handluje, nie mam co do tego wątpliwości. Z podatków się wykręca! Mówią, że kobiecie i urzędnikowi wierzyć nie wolno. I proszę, Iwaszczenko, świetny przykład! Że też ona nie wyczuła tego potwora! Bardzo niebezpieczny typ.*

- A pan co? Nie zna specyfiki tego kraju? – uśmiechnął się zadowolony ze swojej zuchwałości pan Guś. – W Rosji króluje biznes totalny. Wszystkie grupy zawodowe żyją według tej zasady. Całą dobę. Nauczyciele stawiają oceny patrosząc kieszenie rodziców!

Strażacy gaszą pożar – trzymaj się za portfel! Milicjanci prowadzą dochodzenie – dawaj łapówkę! Lekarz leczy chorego – szykuj pięciocyfrowe honorarium! Za ślub, za paszport, za rozwód, za testament, za odroczenie, za prawo wjazdu, za rejestrację noworodka, za zaświadczenie, za akt zgonu, za miejsce na cmentarzu – teraz za wszystko trzeba płacić! Podatek! To przecież takie ładne słówko: podatek! Kto nie ma możliwości wypracować podatku, ten marzy o nim! Śni! Gdy rząd zwalczy korupcję, Rosja zastygnie z przerażenia! Śmiertelne przerażenie ogarnie rodaków. Co robić? Jak można żyć bez łapówki?

- Być może, być może... - *A co w tym złego, no? Właśnie tak sądzono budować i umacniać Rosję! Nam innych architektów nie trzeba* – pomyślał generał. A na głos powiedział:

– Młody człowieku, proszę zostawić, ehe, ehe, pismo zaadresowane do banku centralnego i pańskie dane, żeby nie niepokoić pana Tryrogowa. Dołożę wszelkich starań i, co najważniejsze, bez prowizji, żeby wesprzeć pana sprawę. Teraz się spieszę. Mam zebranie! Powodzenia! Żegnam!

Rozeszli się.

Z biura do restauracji naczelnik, już w cywilnym ubraniu, szedł ze swoim szoferem Mitką Kondruszkinem. W ciągu krótkich dziesięciu minut mówił bez przerwy, jedynie co jakiś czas przerywając, by zapytać:

- Zrozumiałeś, durniu?

Sapieha brał po kryjomu lekcje u znanego stylisty. Marzył, by wyglądać arystokratycznie, co było we współczesnej Moskwie szczególnie na czasie. Ale on sam miał po temu inne, ukryte powody. Pieniądze, powiązania, stan posiadania nie robiły już na nikim wrażenia. Od ślicznotek i milionowych gadżetów, którymi otaczali się możni tego świata, wiało już trochę nudą. Rok 2004 stawiał nowe wymagania przed nowomoskiewską elitą: dobre maniery i styl. A Piotr Piotrowicz podążał za modą. Od dawna już służył krajowi, zatem zdołał zgromadzić przyzwoity kapitał, który sprawił, że smak miał wyrobiony zarówno w kwestii wyszukanych potraw, jak i światowych manier, modnego ubioru i arystokratycznej napszoności. Przy czym należy tu nadmienić, że błyskotliwość i wyrafinowanie stylu życia pana Sapiehy były na poziomie światowej elity bogaczy, których roczny dochód wyrażał się co najmniej w dziesiątkach milionów dolarów. Poziom ten zresztą coraz bardziej się wyrównywał. Tak na przykład, stołeczny urzędnik nigdy nie pozwoliłby sobie jeść małży, pożywienia klasy średniej, a preferował ostrygi, lecz nie pierwsze lepsze, tylko z północnego Atlantyku, a i te wyłącznie najlepszego gatunku. W ostatnim czasie nigdy, pod żadnym pozorem, nie skusiłby się na okonia, pstrąga czy troć, a wybrałby doradę, morskiego okonia, turбота (ale nie młodszego, ani starszego niż ośmiomiesięczny i o wadze dokładnie trzystu pięćdziesięciu gramów). W czasie przerwy obiadowej pił wino tylko takie, które kosztowało powyżej trzystu dolarów, tak znanych marek jak Clerc-Milon, Lafon Rochet, Laffitte Carcasset. Do kolacji pił zaś wino od tysiąca dolarów za butelkę. To były już światowe brandy: Grand Nuit Lacoste, Pichon Longueville Comtesse de Laland czy Cos d'Estournelle, ale gdy otrzymywał wino w prezencie, albo go częstowano, pytając, co go uraduje, wymieniał Petrus, Lafite Rothschild, bądź Latour - pięć tysięcy dolarów za butelkę. Gdy gestykulował, jego paznokcie lśniły od bezbarwnego lakieru profesora manicure'u. Gdy mówił, jego wypowiedzi były ustawione przez specjalistów od telewizji. Kiedy zaś milczał, to w oparciu o techniki najlepszych ubezpieczycieli kont bankowych sejfów. Ubrany był

zawsze nienagannie, w ubrania z najdroższych butików i najlepszych domów mody. Miał też swoją narodową słabość – na rodzinę wydawał oszczędnie. Odwiedzając matkę staruszkę, żyjącą z tysiąca rubli emerytury w zapyziałym mieszkanku, obowiązkowo kupował jej kawałek kiełbasy, kilka butelek kefiru i bochenek chleba. Nigdy nie niósł ich sam – kilka kroków za nim szedł, niosąc te skromne smakołyki, asystent. Kupować coś innego? A skąd pieniądze? Pensja Sapiehy była niska aż wstyd! Strach, jaka mizerna! Ze starymi przyjaciółmi także ograniczał się w wydatkach. Przynosił parę butelek piwa, tanią wódkę, jedno jabłko. W końcu zupełnie przestał się spotykać – czasu na spotkania szkoda mu było tracić. Ale najważniejsze: wstydził się ich kondycji! Gdy natknął się na kochaną niegdyś kobietę, obecnie znajdującą się w trudnym położeniu, przechodził obojętnie. Nie zauważał. W ostatnich latach Piotr Piotrowicz miał dwie główne pasje. Pierwszą było biurko! Wygodni ludzie. Czysto biznesowe związki. Dochodowe przedsięwzięcia. Drugą: filozofia życia – brać wszystko od wszystkich! Zawsze i wszędzie. Motto: „Jeśli on mnie, to i ja jemu. Ale on zawsze więcej”. Styl bycia – zwykowny. Podstawa własnego „ja” – dwulicowość. Innych marzeń niż być bogatym arystokratą nie miał.

Arkadij Lwowicz wszedł do restauracji „Nostalgia”. To był jeden z lepszych lokali na Pokrowce. Tu przesiadywali znani w stolicy ludzie - różnorodność owoców morza, bogaty wybór francuskich win, szeroki asortyment włoskich deserów i wyszukany europejski sposób obsługi przyciągały bogatych klientów. Sapieha już siedział przy stoliku. Był bez munduru. Chudziutki, łysy, z ostrym podbródkiem, twarz miał gładko wygoloną i bladą. W jakiś trudny do określenia sposób podobny był do hrabiego Piotra Aleksandrowicza Strogonowa, nieodstępującego cara Aleksandra I podczas marszu na Francję. Trzeba przyznać, że Sapieha do naśladowania wybrał hrabiego nie przypadkiem. Któregoś razu jeden z przyjaciół opowiedział Piotrowi Piotrowiczowi, że będąc kiedyś w Nowym Jeruzalem zobaczył na ścianie tamtejszej galerii jego portret olejny. „Jak to?” – zapytał wówczas zdziwiony Sapieha. „Żartowałem - przyznał się przyjaciel, spostrzegłszy zmieszanie rozmówcy. – To był hrabia Strogonow, ale bardzo mi ciebie przypominał. Czy to przypadkiem nie krewny?” Po tym wydarzeniu wysoki urzędnik wydziału fiskalnego zaczął szukać możliwości by w tajemnicy odwiedzić monaster nowojerozolimski. Kiedy zobaczył portret hrabiego, po raz pierwszy w życiu prawdziwie osłupiał. - *Co za niesamowite podobieństwo! Rzeczywiście, czy to nie mój przodek? Może ktoś zażartował sobie? Nie, farba jakby stara. Rama także – rozmyślał.* Nieco skonsternowany podszedł do staruszki pilnującej sali z pytaniem:

- Dawno ten portret hrabiego Strogonowa u was wisi?

– Od kiedy pamiętam - odpowiedziała weteranka galerii. – A pan, przepraszam, przypadkiem nie rodzina naszego hrabiego? Bardzo pan podobny, wypisz wymaluj Piotr Aleksandrowicz!

Ten sympatyczny epizod jeszcze bardziej utwierdził Piotra Piotrowicza, by pomysł o arystokratycznym pochodzeniu wprowadzić w życie i jeszcze bardziej go podkreślić. Dał swoim podwładnym zadanie, aby wyszukali jego związki z hrabiowskim rodem Strogonowych. Ale pradziadów Sapiehy, urodzonych na Orłowszczyźnie, niegdyś wchodzącej w skład guberni kijowskiej, nie dało się odnaleźć. Po linii matki poszukiwania kończyły się na Wołogodczyźnie, w miasteczku Welsk. Dotrzeć głębiej się nie udało. Archiwa zaginęły w pożarach historii. - *Może jakaś gałąź z nieprawego łóża Strogonowych?*

– pomyślał. Wtedy właśnie Piotr Piotrowicz postanowił powiesić w swoim domu w Razdorach pod Odincowem dla podkreślenia arystokratycznego pochodzenia portrety przodków: hrabiego Piotra Strogonowa i generała-porucznika wydziału fiskalnego Piotra Sapiehy. Obu w mundurach i orderach. - *Trzeba zaprosić najlepszego portrecistę Rosji do tak ważnego przedsięwzięcia* - pomyślał. Ale niestety nie znał Aleksandra Maksowa, drogi do niego nie łatwo było mu się dobić, mimo że szukał sposobu chyba nawet kilka miesięcy. W końcu, dzięki pomocy jednego z członów rządu, odpowiedzialnego za działalność malarzy i innych artystów rangi państwowej, udało się spełnić zamiar. Z wielkim trudem zdołał namówić mistrza, żeby zgodził się na tę propozycję, jednak kategorię odmówił malowania portretu Strogonowa ze zdjęcia. Przyszło panu Sapieszce pozować i za Piotra Aleksandrowicza ze świty Aleksandra I za samego siebie. Wreszcie dwa obrazy świętego malarza zawisły dumnie naprzeciw siebie w sali przyjęć podmiejskiego domu naczelnika Wydziału Fiskalnego. Goście, którzy je uważnie oglądali, za każdym razem aż ręce składali ze zdumienia, mówiąc:

- Mój Boże, jakież podobieństwo przedstawicieli wielkiego rosyjskiego rodu. Jakby nie rozdzielały ich te dwa długie stulecia!

Takie opinie przyjaciół cieszyły uszy Piotra Piotrowicza, tym bardziej więc chciał wyszukany manierami dowieść swego arystokratycznego pochodzenia.

- Już całe pięć minut na pana czekam.

- Proszę mi wybaczyć. Zebrania... - odparł Dulczykow siadając przy stoliku.

- Coś nowego, ważnego się wydarzyło?

- Tak, sporo. Pozwoli pan, że opowiem?

- Słucham – Sapieha zawołał kelnera, zamówił koniak Paradis, skruszył cygaro, rozejrzał się po prawie pustej sali, zerknął na swego rozmówcę Dulczykowa i zamienił się w słuch.

Arkadij Lwowicz, zanim zaczął, przesunął po stole ku swemu towarzyszeni kopertę mówiąc szeptem:

- Proszę przyjmując przyjacielski prezent z okazji Nowego Roku.

Po czym tym samym tonem kontynuował opowieść. Najpierw zainteresował się pozycją w rządzie pana Żaspupina, jego odgórnymi powiązaniem, a dokładnie, kto za nim stoi. Jednak przede wszystkim mówił o wizycie Machachoryna, sprawie zdjęcia akcyzy na metale szlachetne oraz niebezpieczeństwie, które, jak przeczuwał, groziło ze strony tego człowieka. Poprosił Piotra Sapiehę o ochronę biurka i parasol w osobie ministra. Za tę uprzejmość obiecał sześćdziesiąt tysięcy dolarów co kwartał. Dulczykow rozumiał, że sam Piotr Piotrowicz nic pożytecznego zrobić nie może, ale w chórze z głosami wyższych dygnitarzy każde słówko skierowane do właściwego ucha może wiele. - *W departamencie są siedemdziesiąt trzy wydziały, gdyby z każdego cztery razy do roku wpływała do jego kieszeni podobna suma? Kuszący kapitał by się uzbierał, no? Całkiem niegłupio! A własny biznes Piotra Piotrowicza? Zapewnia przecież przykrywkę dla kilku gałęzi* – myślał Arkadij Dulczykow. - *Ale co mi do tego? Muszę sam siebie ochraniać! Nic innego mnie nie interesuje. Moje biurko – oto słowo klucz! Broniąc go, bronię własnego życia! Właśnie za biurko będę płacił wszystkim rosyjskim wielmożom konkretne sumy. Wokół biurka będę koncentrował pierścien obronny. Wiem, że głos ma Sapieha piskliwy, ale tym swoim piskiem będzie odstraszał intruzów od mojego biurka.*

Porozmawiali, pojedli, uzgodnili wspólne plany. Wyszli. Kolejne spotkanie miał Piotr

Piotrowicz o czternastej. Arkadij Dulczykow skierował się do wyjścia. Pseudoarystokrata Sapieha pomyślał: - *No, szubrawiec z tego generała! Ileż to nawypaszał za te dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie. Cham! Chomąt! Co to za pieniądze? Z akcyzami dorzuci jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, ale nie więcej. Warto za takie grosze go chronić? Teraz inne czasy! W dwutysięcznym, dwa tysiące pierwszym, drugim, poszedłbym na to. Ale w dwa tysiące czwartym – palcem nie kiwnę. Poczekamy na Machachoryna, co on zaproponuje? Poczekam na innych kandydatów. Amatorzy biurko sami przyjdą do mnie. Znajdą się chętni i przedsiębiorczy. Biurko każdemu przyzwoitego kapitału przysporzy. Beze mnie z Dulczykowem sobie nie poradzą. Nie do ruszenia generał! Do tego trzeba Niedowiakina z administracji pozyskać. On ma do takich tematów talent jak nikt. Prawdziwy biurokrata natychmiast rozpuściłby słuchy, że biurko Arkadia Lwowicza zwalnia się. Zatrzeszczało by pod naciskiem konkurentów. Zamachnęły się na nie znaczące osoby. Wystarczy nazwiska kilku znanych bogaczy rzucić. Wtedy stawki od razu pójdą w górę. Sam milusiński z pieniędzmi przybiegnie. Zacznie je na każdym kroku proponować. Nietknięte jeszcze paczki dolarów, tak przyjemnie pachnące farbą. Właśnie to trzeba zrobić! Nic innego! Co mam się cackać? Płacić może każdy.*

Po tak przyjemnych rozważaniach Piotr Piotrowicz Sapieha rozparł się wygodnie za stolikiem restauracji „Nostalgia”, przybrawszy absolutnie arystokratyczną pozę: głowa nieruchoma, tors nienagannie wyprostowany, a znudzone oczy beznamiętnie wpatrywały się w magazyn „Interier”. Sam przez siebie uznany za potomka hrabiów Strogonowych powoli, prawie ze znużeniem, zapalił cygaro i zamyślony czekał na kolejnego generała swego departamentu.

Arkadij Lwowicz prywatnym wejściem wszedł wprost do gabinetu. Intuicja podpowiadała mu, że w Sapiesze, mimo iż nadal deklarował się jako przyjaciel, więcej nie może pokładać nadziei. - *Dlatego płacę mu niewiele. Też mi, gruba ryba: naczelnik kancelarii ministerstwa* - myślał Dulczykow. - *Tfu! Łatwiej mi go zdjąć, niż jemu mnie obronić. Ale wszystko w swoim czasie! Różnica między nami jest ogromna: on – urzędnik, ja – biurokrata. Mamy całkowicie sprzeczne interesy. On musi powiedzieć „tak”, żeby zarobić, a ja żeby mieć dochód muszę uparcie mówić „nie”. Wydawałoby się, jedno słowo, a jakże ogromna różnica w cenie! I to w żywej gotówce! On sam niczego nie podpisuje, tylko roznosi po gabinetach ważnych osób. A ja dokumenty podpisuję osobiście. Dlatego mam znacznie większe zaplecze. Zupełnie inne problemy? Klientela bogatsza. Co mi ten arystokrata ze starego ruskiego rodu? Tfu! Trzeba, żeby moimi kanałami do uszu ministra dotarło, że naczelnik kancelarii zbiera na niego kompromitujące materiały, żeby przekazać je do gabinetu ministrów. Wtedy pod biurkiem Piotra Piotrowicza zacznie się dymić i języki ognia prędko zaczną rosnąć w pożar. Wtedy okażę mu pomoc, ale nie za darmo, a za obietnicę sześćdziesięciu tysięcy dolarów co kwartał. Skoro mnie pozbawiają pensji, odbierają biurko. Jaki mam wybór? No? Niech swoje kieszenie na koszt innych biurków zapełnia. Mamy ich tu w końcu nie tak mało – uspokajał sam siebie doradca państwowy trzeciego stopnia.*

Wszedł do łazienki, przeciągnął po brwiach watką z olejem rycynowym, przypudrował na szyi niewiadomego pochodzenia siniak, zatuszował specjalnym angielskim pudrem rzadkie, nieokreślonej barwy włosy, spojrzął na siebie w lustrze, zmrużył oczy, policzki

opadły mu na kołnierzyk. Włożył służbowy mundur i wszedł do gabinetu, gdzie zasiadł na wysokim służbowym fotelu za biurkiem naczelnika w tej samej niemal chwili zerkając z niepokojem na portret głowy państwa. Podniósł słuchawkę bezpośredniego łącza i jak zwykle rozkazującym tonem rzucił:

- Lubasza, niech wejdzie pan Treszczałow. Znowu rozłożył gazetę z obwieszczeniem o aresztowaniu X, rzucił ją na krzesło dla interesantów: „Niech wszyscy petenci wzdrygają się z przerażenia na myśl o pryncypialności władzy”.

Do gabinetu wszedł krótko ostrzyżony niewysoki siłacz około trzydziestki. Ubrany w granatowego koloru dres, na szyi miał beżowy szalik, a na nogach zamiast zimowych butów lekkie tenisówki. W rękach trzymał ekspander, który cały czas ścisnął. Za nim dreptał bulterier: pręgowany, muskularny, z szeroką piersią, na krótkich łapach, o szczękach rekina z długim szczerzym ogonem.

- Słuchaj chłopie, długo czekałeś na siebie czekać, - zaczął Treszczałow, mówiąc rozwlekłym tonem. - Gdybym wiedział, to przyszedłbym po żarcie. Przez ciebie żołądek mam pusty. Psa rozżłościłeś. Za te niewygody ma ochotę ci pół tyłka wycharatać. Mnie samego pięści swędzą, żeby ci mordę pokiereszować. Skwaśniały nas witasz. Ja nie łupież z kołnierza munduru gliny. Nie piórko z gołębiego rynku. Reprezentuję grupę woroneżską. Zrozumiałeś, urzędniczyno? Nas trzeba nie tylko w twoim biurze szanować, ale na piętrach, znacznie wyżej – mówiąc to Treszczałow odłożył ekspander, wziął z biurka nożyczki rozciął na pół gazetę, absolutnie nie zwracając uwagi na wzmiankę o X, i zaczął ją ciąć na kawałeczki podobne do gwiazdek. Przy czym, jakby myśląc o czymś intensywnie, potarł nos, a na jego nadgarstku rozkojarzony naczelnik zauważył tatuaż: „Biję na odlew!”

Generał zdębiał. Nie spodziewał się takiego bezpardonowego chamstwa. Proszono go, żeby przyjął Treszczałowa, uprzedzając, że typ reprezentuje jedną z bardziej ambitnych stołecznych grup. Ale takie maniery? Takie wyzywające zachowanie? Słownictwo? Dulczykowi absolutnie się tego nie spodziewał. Miał ochotę natychmiast wyprosić interesanta. Wezwać ochronę, znajomych z FSB, milicję. - *Co on, przyszedł mnie tu obrażać?* – oburzył się Arkadij Lwowicz. - *Psem straszy? Na strzępy porozrywa, niedoróbek uliczny. W wiecznej zmarzlinie go urzędzę, rosomakom na deser zamiast lodów to jego muskularne ciało, a bulteriera na mydło przerobię.*

W swoim wzburzeniu wymyślał jeszcze bardziej wyszukane formy zemsty. Jednak stopniowo ten zapal bojowy przygasł, a generał zaczął myśleć na chłodno i kalkulować. - *Żeby ten incydent przypadkiem w skandal się nie obrócił. Biurko może być w niebezpieczeństwie! Śmiać się będą w biurze. Nie, lepiej jak najszybciej pożegnać się z tym typem* - myślał.

- Ależ, co pan, mój drogi. Ledwie wszedłem. Zebranie, ehe, ehe, podsumowujące rok – rzucił roztrzęsiony Dulczykowi.

- Nie nazywaj mnie „drogim”. Ja nie gej żaden dla ciebie, zrozumiałeś?

- A jak mogę się do pana zwracać?

- Masz na myśli, jak mi na imię? Mów mi po prostu: Wściekły Dźwig!

- Przepraszam, jak? Wielki Dźwig?

- Nie, tak jak słyszałeś: Wściekły Dźwig. Zrozumiano?

- Czym mogę służyć? Jaką pomocą? – Arkadij Lwowicz najwyraźniej nie chciał powtórzyć

tego egzotycznego imienia. - *Trzeba go jak najprędzej stąd spławić. Wstrzymaj się, Dulczykow, z tego może być chryja* – uparcie świdrowało mu w głowie.

- A tobie co, Zanoza nic nie powiedział? Łzesz, wszystko ci mówił!

- Zapomniałem, starzeję się. Proszę mi przypomnieć, w czym, ehe, ehe, rzecz?

- Zapomniałeś o naszej prośbie, durniu? Jak to? Myślisz, że jak w ten mundur się ubrałeś, to ja ci rozumu nie nabiję? Tak cię urządzą, że do świńskiej tuszy będziesz podobny. Zrozumiałeś? Od razu sobie wszystko przypomnisz! Jeszcze się taki nie urodził, żeby o naszych prośbach mógł zapomnieć. Bierz pismo i podpisuj. Tam wszystko jest. Ale nie pytaj, co tam napisane, sam czytaj! Ty co, myślisz, że wiem o co w nim chodzi? Dureń! Czekam trzy minuty. Potem dostaniesz w mordę, jak kucharz schabowego cię stłukę. Zrozumiałeś?

Generał Dulczykow z namaszczeniem przejrzał pismo. Zwracano się w nim o zwrot podatku VAT przy eksporcie wódki, której wartość miała wynieść dwieście trzydzieści milionów rubli.

- Jest deklaracja celna na wywóz waszej produkcji? Jakie macie dokumenty poza tym? – ostrożnie, prawie szeptem spytał wstrząśnięty urzędnik.

- Jaka deklaracja? Ty co, sfiksowałeś? – głęboko osadzone czarne ślepia psa zareagowały na ostry ton pana, złowrogo wpatrując się w Dulczykowa. Krótki, mocny korpus stężał w oczekiwaniu komendy. Mocne szczęki lekko się rozwarły. Potężne łapy napięły.

- *Zaraz pies się na mnie rzuci* - cofając się pomyślał z przestachem generał. – *Ale bez deklaracji nic nie zrobię. Przez jaką granicę przeszedł towar? Czy jest notatka celna? Ta wredna bestia i jej pan zdolni są do wszystkiego! Co mam zrobić? Nie mogę krzycheć, że napad? Podpisać? Odesłać go do wyższej instancji? Ale oni do mnie go znowu odesłają. Co tu zrobić? Już nigdy się nie zgodzę na spotkanie z takimi typami. A teraz choć z okna skacz na Marosiejkę* – Arkadij Lwowicz zapowietrzył się ze wzburzenia.

- Zostało mniej niż dwie minuty – ponuro rzucił Treszczanow. Zaraz się tobą pies zajmie. Nauczony jest zrywać pagony i odgryzać nosy. Jeśli znasz prawo, to wiesz, że właściciel psa nie ponosi odpowiedzialności za szkody przez niego wyrządzone. Najwyżej mandat. Zasądzą opłatę za zastrzyki przeciw wścieklicznie. Każą dorzucić na leczenie. Ale ciebie pies rozszarpie! Strzępy po całym budynku będą zbierać! – Treszczanow zaczął rzucać w naczelnika papierowymi gwiazdkami, po czym zaśmiał się szczerze, jak dziecko. Czarny guzik nosa pręgowanego bulteriera poruszył się lekko. Zwierzę szykowało się do skoku.

Głębokie wzburzenie i niezadowolenie z siebie wzbudziła w Dulczykowie sytuacja, w którą się nieopatrznie wpakował. - *Takie chamstwo tylko w Rosji możliwe!* - myślał wstrząśnięty.

- *Mam ze strachu łamać prawo, dlatego, że mnie bulterier rozszarpie? Ja, generał Nowej Rosji, we własnym gabinecie boję się psa? Boję się zostać pogryziony, poszarpany na kawałki? Boję się zostać ośmieszonym wobec zwierchników i personelu urzędu, w którym ze wszystkich sił służę temu krajowi. Nawet niżsi urzędnicy będą szydzić: „He, he, Dulczykowa pies pogryzł. Odmówił zwrotu VAT u za eksport. Nawet pies się wkurzył. Nie wytrzymał kręactwa urzędnika.”. Właśnie taka historia będzie krążyła po gabinetach. W mig mnie osądzą jako winnego! A jak zwrócić VAT, skoro nie ma dokumentów? Był eksport, czy nie było? Nie wiadomo. Jak wykazać, skoro nie ma dokumentów? A prawie trzysta milionów rubli z budżetu oddawaj! W obwodzie I-ckim długi wobec pracowników sektora budżetowego już sześć milionów dolarów wynoszą. Cztery miesiące tam już pracownikom pensji nie wypłacają. Ludzie za światło nie mogą zapłacić, po ciemku siedzą*

w domach. Przy świecach, jak za cara. Rady miejskie wprowadzają etaty latarników, żeby budynki państwowe oświetlać. W obwodzie B-ckim dług doszedł do dziewięciu milionów dolarów. Naród nie ma pieniędzy na ogrzewanie. W walonkach i futrach śpią! A tu dziesięć milionów dolarów temu ludożercy oddawaj! Podpis składaj, żeby wirtualny VAT zwrócili i zapomnij o sprawie! Bez osobistej korzyści! Bez udziału w podziale zysku! Żeby się jeszcze podzielili? Powiedzieli, jak należy w takim biznesie: trzydzieści procent dla pana, szanowny generale, a z innymi biurkami sami się rozliczymy. Wtedy nikt by się nie wzbraniał. Nie trzeba by było tych trzech minut ultimatum. Każdy by wziął, co mu się należy. Wtedy zapomnieć o wszystkim nie grzech. Rób swoje i żegnaj! A teraz co? Terror! W moim własnym gabinecie! Urzędnika państwowego Dulczykowa w jego własnym gabinecie napada grupa kryminalna: ludożerca z ludzką twarzą i krwiożerczy bulterier. Czy to możliwe za granicą? W Niemczech, Francji, Ameryce? Żeby kryminalista napadał na urzędnika? W jego urzędzie? Nad którym powiewa flaga państwowa? Którego mosiężna tabliczka świeci aż w okna Kremla? W jakich barbarzyńskich czasach żyjemy! Powinni się dowiedzieć za granicą, jak nam ciężko. W niewyobrażalnych warunkach żyjemy. Musimy walczyć o wszystko! Ale co mam teraz zrobić z tym papierem Treszczałowa? Podpiszę! Skoro mam takie plany z Podcholuzinem, Machachorynem, Santapukinem, dla dziesięciu milionów dolarów miałbym biurkiem ryzykować? Własne zdrowie narażać? Tfu! Podpiszę, no! Ale z tajnym aneksem. Żeby panowie dojrzeli. Może jeszcze przyjdą się podzielić.

Państwowy doradca trzeciego stopnia podszedł do biurka, wziął Parkera ze złotą stalówką i napisał na firmowym papierze:

„Zgodnie z przepisami, o eksporcie rosyjskich towarów, VAT podlega zwrotowi. Należy go wypłacić na żądanie eksportera, w myśl rozporządzenia o rozliczeniu podatku od towarów i usług.

WYPŁACIĆ VAT”.

Na końcu decyzji złożył swój zamaszysty podpis.

Całe pismo było napisane drobnym maczkiem, a słowa „WYPŁACIĆ VAT” Dulczykowi celowo napisał wielkimi literami w jednej linijce. - *Teraz niech kontrolerzy i ludożercy spróbują do mnie się dobić* - pomyślał zadowolony Arkadij Lwowicz. Podstawiłem go tym z wydziału zwrotów. A jak inaczej, no? Taki sposób przetrwania. Czy jesteś biurokratą, handlowcem, uczonym czy taksówkarzem. Nie myślisz o sobie – zginiesz! Teraz niech oni piszczą, gdy im pod nosem zacznie wytatuowaną pięścią wygrażać.

- Teraz nic nie stoi na przeszkodzie żeby odzyskał pan swoje pieniądze. Ale bardzo proszę, żeby zabrał pan ode mnie psa. Obawiam się o swój mundur - powiedział Arkadij Lwowicz tonem pełnym szacunku.

- Mundur? Rękę możesz stracić, albo głowę i biurko - nieco udobruchany, ale jeszcze ze złością rzucił Treszczałow. Wziął papier, odczytał decyzję, koso spojrzął na urzędnika i dokończył:

- Nie gardź naszą przyjaźnią. Gdyby taka nieprzyjemna sytuacja, jak dzisiaj, się powtórzyła, to źle z tobą. Kaput! Wiesz, dlaczego nas nazywają Kruczą Bandą? – ciągnął, wycinając papierowe gwiazdki.

- Przykro mi, ale nieee... – z niepokojem w głosie odparł naczelnik. – *Naprawdę nie wiem, dlaczego* – pomyślał w duchu.

- Mamy kruki. Nie takie zwyczajne, ale tresowane. Nie tylko te skrzydlate. Masę różnej

zwierzyny do swoich zadań. Nie pytają, bez sprzeciwu robią, co trzeba. Na przykład, trzeba Dulczykowa namówić, żeby papier podpisał. Albo Pupsikowa do płacenia nakłonić. Po co mi pięści własne brudzić? Na to mamy pierzastych, i pełzających, i kęsających. Od nich się nie wywiniesz. W szczelinę zależą, przez dziurkę od klucza wślizną, przez lufcik wleczą, samochód przewrócą. Zrozumiałeś, urzędniczyno? Nie próbuj się ukryć przed nami. Przekupić naszych prostodusznych chłopaków. Nikomu nie wybaczymy. Jedno słowo: bierz! Zrozumiałeś? No, to idę. Nas zawsze należy się bać. Nawet, jak pożyteczną sprawę załatwisz. Zapamiętaj to! - tu Treszczałow rzucił urzędnikowi w twarz pocięte skrawki gazety, głośno chrząknął i wyszedł z gabinetu wraz ze swoim czworonożnym kompanem.

- *Minęło, co?* – z ulgą pomyślał urzędnik. – *Trzeba Mitce kazać staffordshire'a kupić. Będę go w gabinecie trzymał. Pod biurkiem, albo za kotarą w apartamencie. Będzie miał frajdę się wyżyć w obronie pana. A może rosomaka, co? Trudno go wytresować, ale tego bulteriera Treszczałowa na strzepy by rozerwał. Coś trzeba robić. Wstyd! Generała rosyjskiej służby fiskalnej jako zakładnika trzymać, grozić psem bojowym w jego własnym gabinecie, w głównym biurze na Marosiejce? Toż to upadek państwa! „Nauczony pagony zrywać i nosy odgryzać” – przypomniał sobie groźby Treszczałowa. – *Co to ma być? Bulterier ma rozsądzać o honorze oficera? Stać na straży konstytucji? Na to masz głowę, Dulczykow gołąbeczku, żeby zorganizować pracę tak, by wykluczyć takie poniżające sytuacje.**

Uspokajając się powoli, Arkadij Lwowicz przeszedł się po gabinecie, podszedł do lodówki, wyjął z niej butelkę wódki „Bolszoj”, nalał do szklanki mniej więcej sto gram i wypił jednym haustem. Wstrząsnął się jakby chciał odegnać urok, nadgryzł marynowane jabłko i doszedł do siebie. Jego twarz w mig złagodniała, zaróżowiła się po dawnemu, a on sam znowu pewnie stanął na urzędowym gruncie.

Całkiem nowe myśli zaprzątnęły mu teraz głowę:

- *Do Rady Ministrów trzeba skierować projekt zwiększenia budżetu na 2004 rok. Nie mogę na służbie tylko swoimi sprawami się zajmować. Koniec roku za pasem. Wkrótce zebranie sprawozdawcze. Trzeba się postarać, żeby o generale Dulczykowie mówiono jak o urzędniku z inicjatywą. Ale też, żeby nie za bardzo go chwalili! Żeby nie okrzyknęli reformatorem. Jeszcze wyższe biurko zaproponują, a tam żadnego pożytku nie będzie. To mnie w ogóle nie interesuje. Już lepiej za swoim siedzieć i własną kieszeń karmić, od czasu do czasu pamiętając o państwowym budżecie. Choćby, na przykład wprowadzić podatek od psów bojowych i walk ptaków! Albo o sto procent podnieść podatek na samochody klasy lux czy ubrania powyżej tysiąca dolarów. Można podwyższyć podatek na drogie obuwie, wyroby jubilerskie, wiedzę akademicką. A właściwie dlaczego dotąd w cieniu pozostają doktorzy nauk i tytuły profesorskie? Pora wprowadzić podatek od intelektu! Skoro w Anglii okna i kominy uważa się za własność króla, to dlaczego by w Rosji nie wprowadzić podatku od przynależności do świata nauki? Tylu tych mądrali wokół! Pora przyuczyć świnie i psy do szukania pieniędzy i kosztowności u celebrytów: przeszukać domy i włości gwiazd estrady, wywęszyć, co kryją kieszenie i teczki senatorów, posłów czy prowadzących tok-szoły; oni przecież pieniądze łopatą przerzucają. A, zapomniałem o ślicznotkach! Też powinny płacić! Wszyscy piszą, że uroda to majątek! A u nas w kraju każdy płaci podatek od kapitału. Czemu by ślicznotek nie włączyć do budżetu? Im lżej niż pozostałym rozliczyć się z fiskusem. Mają ogromne sponsorskie zasoby. I dla mnie będzie pożytek! Spróbuj tylko*

oszukać Rosję! Dulczykow czuwa, jeszcze jak czuwa, a co? Ile romantycznych historii czeka na mnie! Każdy pozazdrości! Oczywiście oprócz Kuziakina i jego kompanów. Ale czy ja mogę mieć pewność, że za niedługo i mnie do nich nie zaliczą?

Takie to oryginalne myśli przychodziły Arkadijowi Dulczykowowi do głowy, gdy stał nieruchomo wpatrzony w okno wychodzące na Marosiejkę.

Przedstawiciel banku „Allegro” czekał na pana Treszczałowa w poczekalni, gdzie urzędowała Popyszewa. Doskonale wiedział, z kim ma się spotkać. Ale Wład Siemionowicz nic na tym świecie nie peszyło. Zawsze zadawał sobie tylko jedno pytanie: czy kontakt z daną osobą przyniesie jakikolwiek komercyjny pożytek, czy też nie? Gdy tylko widział sens, rozmawiał krusząc mury i wielce udanie oferował rozmówcy swój dochodowy pakiet usług. Nie zwracając najmniejszej uwagi na bulteriera, bez ogródek zwrócił się do wychodzącego z gabinetu Treszczałowa.

- Wład Siemieniura, bank „Allegro”. Od dawna marzyłem, by nawiązać z panem kontakt. Osoba z takimi powiązaniem i intelektem bardzo interesuje nasz bank. Co najważniejsze i dla pana przyjemne, nasza znajomość nie jest bezpłatna. Oto zaproszenie na otwarcie nowego elitarnego klubu Cezar. Proszę wyświadczyć nam tę uprzejmość i przyjść z żoną albo znajomą damą na cudowny wieczór. Nie zaszokuje pan towarzystwa przychodząc z przyjacielem. Restauracja, sauna, masaż według wszelkich upodobań, taniec brzucha, osobiste show erotyczne – wszystko do pańskich usług.

- Czego ci ode mnie trzeba? – Treszczałow zatrzymał się, wziął bilet i dodał:

- Daj mi jeszcze parę bilecików. Kto was ochrania?

- Proszę spytać u pana zwierzchników. Na przykład pana Penturyna. Ale proszę pamiętać, obecnie banki nie mają obstawy. Wielu klientów „Allegro” to pańscy koledzy po fachu. Tu bez totalnej wojny się nie obejdzie. To, o co pan pyta, to dawne czasy. Proszę wziąć bilet dla Penturyna i pańskiego przyjaciela - młody człowiek podał mu dwa zaproszenia.

- A jaki masz interes?

- Panie Treszczałow, można w różny sposób zarabiać. Jeden jest szulerem, drugi przedsiębiorcą, trzeci finansistą, urzędnikiem, bandytą, sportowcem, aktorem. Ale pieniądze trzyma się tylko w banku. A jeszcze lepiej w banku „Allegro”. Każde inne miejsce raczej odradzam. Jak gruźlikowi potrzeba suchego, czystego powietrza, tak lokatom, a tym bardziej w większych ilościach, potrzebne są bankowe piwnice i sejfy. Przecież nasze życie pełne jest niespodzianek. A nuż zdarzy się w mieszkaniu rewizja? Wtedy wasz kapitał pstryk, pstryk! Albo gdy nieproszeni opryszkowie z innego miasta zajdą w gości. Jak by pan sprytnie pieniędzy nie schował, przesłuchają i znajdują. Potrzebne panu takie ryzyko? Ryzyko nie tylko straty kapitału, a zagrożenia dla całej rodziny. Mamy wspaniałe propozycje. Anonimowe konta. Indywidualna obsługa. Żadnych obaw, otrzymuje pan świetne oprocentowanie i śpi spokojnie: tak we własnym mieszkaniu, jak i w państwowym więzieniu. Pieniądze lubią ciszę i spokój. Właśnie takie warunki proponujemy rozsądnym ludziom. Oto moja wizytówka. Proszę zadzwonić. Mój telefon włączony jest dwadzieścia cztery godziny. Jeszcze zdążę opowiedzieć panu o wszystkich dogodnościach naszej placówki. Wierzę, jestem pewien, że nasza propozycja bardzo pana zainteresuje.

Gdy się pożegnali, młody człowiek zauważył, że na twarzy Treszczałowa pojawił się ledwie

dostrzegalny uśmiech. A gdy wyciągnął do Siemieniury rękę i rzucił:

- Zobaczymy się na wieczorze w Cezarze...

przedstawiciel banku pomyślał: - *Naiwny chłopak. Tyle w nim dziecka albo naiwniaka, że po kolejny raz utwierdzam się, iż stolica to wspaniałe pole dla biznesu.*

Gdy generał Dulczykow zakończył swoje reformatorskie rozmyślenia, doszedłszy do siebie, zasiadł w fotelu za biurkiem. Z gazety o aresztowaniu X zostało jedynie pół szpalty. Podłoga zasypana była twórczością pana Treszczałowa. Generał podniósł słuchawkę bezpośredniego łącza ze swoją sekretarką i krótko rzucił:

- Zachodź!

Poprząszewa natychmiast znalazła się w gabinecie. Wzrokiem pokazał jej nieporządek. Sekretarka zrozumiała i wzięła się za sprzątanie.

- Niech wejdzie Kleszczywcew – powiedział urzędnik. – Ale wpuszczaj bez psa, czy innej poczwary. Żeby takich historii jak z Treszczałowem mi tu nigdy więcej nie było. Do mojego gabinetu z bulterierem! Skandal! Wydrukuj na komputerze: „Ze zwierzętami i psami wejście do naczelnika kategorycznie zabronione!” Taką tabliczkę wywieszisz przy wejściu do mojego gabinetu. Natychmiast! Zrozumiałaś?

Podczas gdy sekretarka doprowadzała biuro do porządku, w głowie Arkadija Lwowicza przewinęły się wspomnienia, związane z poprzednią wizytą Kleszczywcewa.

- *To syn naczelnika centralnego zarządu straży pożarnej. Bardzo potrzebny człowiek w naszej pracy* - rozmyślał Dulczykow. – *Najlepszą metodą, by zatuszować sprawę, w której doszło do naruszenia prawa, jest obrócić w pogorzeliśko archiwum. Tak, pożar obecnie wielu by się przydał, no? Przecież płomienie niszczą nie tylko majątek, ale obracają poszlaki w nicość! Trzeba koniecznie pomóc młodemu człowiekowi w jego kłopotach. Ale dokąd go skierować? Do jakiego departamentu? Do ochrony? A może do swojego wydziału? Całkiem niegłupio! Zamiast prosić za każdym razem dowódcę strażaków, dzielić się z nim przyzwoitym honorarium, czy nie lepiej dawać polecenie jego synowi? Sprawy będą szły szybciej, a co najważniejsze, cena spadnie. Taryfa do zera się obniży. Łatwiej mi będzie!*

- No, co, Lubasza, gotowe? Proś Kleszczewcewa!

Do gabinetu wszedł młody, na oko dwudziestopięcioletni mężczyzna. Wysoki, otyły, o okrągłej twarzy, obwisłym podbródku i znużonym spojrzeniu brązowych załzawionych oczu. W rękach trzymał niedbale jakieś papiery.

- Taak. Proszę usiąść. Jak tata? Zdrow? Dosłownie wczoraj się z nim spotkałem. Mądry człowiek. Duma rosyjskiego, ehe, ehe, pożarnictwa. Szczerze chciałbym panu pomóc. Gdzie zechce pan zacząć swoje zawodowe życie? Kariera jakiego eksperta pana interesuje? A w duchu pomyślał: - *Co za perszeron. Można się powiesić mając takiego syna. Beznadziejna klucha!*

- Gdzie tatuś powie, tam zacznę. Po co mam sobie głowę łamać? Lepiej niż on nie wymyślę. Teraz różni tatusia proszą, żeby do nich mnie skierował. Więc pracy wokół pełno.

- To prawda, młody człowieku, obecnie do służby się dostać, ehe, ehe, to niewielka sprawa. Jakie ma pan wykształcenie? Gdzie pan studiował?

- Mam dużo różnych dyplomów. Jaki panu potrzebny? – Kleszczewcew mówił powoli,

flegmatycznie. - Inżynier lotnictwa może? Albo agronom, technolog przemysłu mięsnego, gorzelnego, nauczyciel wychowania fizycznego, ekonomista... Co panu potrzeba?

- *Najwyraźniej każda stołeczna uczelnia wydała dyplom synowi głównego strażaka. Trzeba od tych pijawek jakoś się oderwać, najłatwiej dyplomem. Ale co on umie?* – zastanawiał się Arkadij Lwowicz.

- Zapytałem pana dlatego, żeby zrozumieć: jaka praca jest bliska pańskim zainteresowaniom?

- Proszę zapytać tatusia.

- Oczywiście, zadam to pytanie. Ale on wtedy może mnie zapytać, a syn sam czego by chciał? Co miałbym mu odpowiedzieć, gdyby...

- Proszę mi dać biurko duże i piękne, takie, jak ma tatuś. Z szufladami, półeczkami i sejfem, żebym miał gdzie prezenty chować. Ma pan takie?

- *Trzeba będzie kupić* - postanowił Dulczykow. – *Ale ten waleń już mi obrzydł. Jeżeli w taki sposób moje polecenia będzie wykonywał, na jakiego czorta mi on?*

- Młody człowieku! Żeby osiągnąć tak wysoką pozycję, jak pana ojciec – generał, trzeba czasem popracować. Pamiętam, że ma pan dyplom ekonomisty? Potrafi pan odczytać bilans? Sprawdzić?

- Wujciu, czemu mnie o takie głupstwa pytasz? W pierwszej klasie nauczyłem się czytać. I bilanse, i bajki, i baśnie – wszystko czytać potrafię. O proszę, nawet zwrotki jednego bilansu pamiętam: „Raz w andrzejkowy wieczór, dziewczęta sobie wróżyły...”

- *Ciężki przypadek, bilanse z romansami pomylił. Ale to nic, przyuczmy go do tego fachu* - pomyślał Arkadij Lwowicz. Naczelnik uśmiechnął się szeroko, wstał, podszedł do młodego Kleszczewcewa, poklepał go po ramieniu i powiedział:

- Jest pan zdolnym absolwentem stołecznej uczelni. Proszę napisać podanie. Od poniedziałku przychodzi pan do pracy. Otrzyma pan posadę odpowiadającą randze majora i biurko z dużą ilością szuflad. A za pół roku wydadzą panu mundur z dystynkcjami majora. Jeżeli będzie pan skrupulatnie wykonywał moje polecenia, to za rok-dwa otrzyma pan stopień pułkownika. A potem generała! Jak, urządza to pana? Może jeszcze jakieś życzenia, no?

A w duchu pomyślał: - *Tobie nie mundur, ale knuta długiego trzeba.*

- Czy już w poniedziałek w mundurze majora nie mógłbym do pracy przyjść?

- Muszę się naradzić z twoim ojcem. A co to za papiery przyniosłeś?

- Kopie dyplomów.

- Wybierz dyplom ekonomisty i razem z podaniem o przyjęcie do pracy zostaw u mojej sekretarki.

- To mam już iść?

- Idź!

W tej chwili zadzwonił telefon. Sekretarka powiedziała mrocznym głosem:

- Podcholuzin na linii.

- Słucham pana, wasza dostojność?

- Co nowego w Barguzińsku?

- Firma już czysta. Żadnej nieprawidłowości. Trudno wyobrazić sobie, kto mógł napisać donos. Dałem polecenie, żeby komisja wracała. Nie ma tam czego szukać.

A w duchu pomyślał: - *Powiedz, jak tam twoje sprawy z Santapukinem. Masz przykrywkę*

w gabinecie ministra?

- Miałem rozmowę z wiadomą osobą. Wszystko idzie bardzo dobrze. Listę, o której mówiłem, przywiezie do ciebie mój asystent. Zaczynaj działać. Ale nie minutę dziennie, a na serio. Chcę widzieć efekty. Mam nadzieję, zrozumiałeś wszystko?

- Czyli wiadoma osoba zaakceptowała nasz plan? Mogę liczyć na preferencje?

- Wszystko w porządku. Mniej paplaj. Na razie – głos Podcholuzina zamilkł.

- Mamy dziś wtorek, dwudziesty trzeci listopada 2003 roku. Właśnie tego dnia zaczęło się dla mnie nowe życie. Tę datę trzeba zapamiętać. Po raz pierwszy w swojej karierze mam przykrywkę nie byle kogo, a samego Santapukina! Cały nadchodzący 2004 rok będę służył pod parasolem gabinetu ministra. Nieźle! Brawo! No, mam minimum pół roku. Dwadzieścia, trzydzieści milionów dolarów można zarobić. Nie, wyznaczę sobie plan półroczny: pięćdziesiąt milionów dolarów! I nie zmyję się za granicę, póki tych pieniędzy nie zarobię. Do końca maja będzie ostatecznie obsadzony nowy gabinet Rady Ministrów. Żeby dobrać się do mojego biurka, będą potrzebowali jeszcze parę miesięcy. Mam zatem czas i powiązania na wykonanie planu. Zresztą Santapukin ma duże szanse, by zostać w rządzie. Jednym słowem: pożyjemy, zobaczymy!

- Wład Siemieniura, bank „Allegro” - młody człowiek przedstawił się przyszłemu majorowi Kleszczewcewowi. – Od dawna marzyłem, by mieć przyjemność spotkać się z panem. Człowiek z pańskim intelektem i powiązaniem nadzwyczajnie interesuje nasz bank. Co najważniejsze i miłe, znajomość z nami przynosi niezły dochód. Proszę przyjąć zaproszenie na święto piwa na Arbacie. Nasi goście piją piwo bezpłatnie w dowolnej ilości. A jeśli da pan słowo, że tatuś otworzy w naszym banku rachunek miejskiego zarządu straży pożarnej, to otrzyma pan pierwszy tysiąc dolarów.

- Tysiąc dolarów?

- Tak! Cały tysiąc dolarów!

- Co, w ciągu godziny, doby? – z niedowierzaniem odezwał się młody Kleszczewcew.

- Jak w ciągu doby? – przyjaźnie zdziwił się Siemieniura. – To awans na poczet przyszłej współpracy. Jeden tysiąc dolarów za otwarcie konta – czy to nie dobry zarobek?

- Takie pieniądze mnie nie interesują – niedbałym tonem wydusił z siebie strażacki wyskrobek. – Mniej niż za trzydzieści tysięcy dolarów w ogóle nie rozmawiam. Awans, bilans? Mnie już dzisiaj generał przepisał.

- Co pan może zaproponować bankowi za trzydzieści tysięcy dolarów?

- Jeszcze nic. Ale gdy zdarzy się pożar, przyjdziecie do mnie.

- Wspaniała propozycja. Zastanowię się i dam panu znać o naszej decyzji – odpowiedział Siemieniura, a w duchu pomyślał: - *Spadaj jak najdalej, potworze! Takiej sumy zażądał? A czary mary nie pasuje?*

Samemu tego nie zauważając, Dulczykowi bardzo się zmienił po rozmowie z posłem. Jakby nawet nieco przybrał na wadze. I krok też stał się bardziej ociężały. I guziki munduru napięły się, i szwy zatrzęszczały, i szyja wyciągnęła, i oczy zmrużyły, a policzki wydeły. A najważniejsze, w głowie mu się zakręciło. W szalonym tempie, jakby nie był w swoim gabinecie z widokiem na Marosiejkę, a z kremlowskich okiem brzegi kalifornijskie podziwiał. Co za bzdura jakaś geograficzna, jakże to z Wieży Spaskiej w samym centrum Moskwy

można plażę w Santa Monica oglądać? Absolutnie nikt nie ma takich możliwości! Śladów nadczłowieka jeszcze nie odkryto ,a oto Dulczykow tego dokonał! I to nie jakoś przelotnie, w porywie natchnienia, a całkiem naturalnie, stabilnie, bez przeszkód i interwencji sił trzecich. Nawet bank dostrzegł z nazwą na froncie: Dulczykoff. Potem przyjrzał się dziewczynie, która, nawiasem mówiąc, była nieco podobna do Kuziakina. I skóra taka delikatna, i oczy marzycielskie, wilgotne. I usta wydęte. Potem spostrzegł nagle, jak jego biurko z gabinetu na Marosiejce wnoszą do kalifornijskiego banku. Windą na czwarte piętro wiozą. W tym momencie zdenerwował się i na całe gardło, co prawda w czysto rosyjskiej mowie, krzyknął:

- Na siódme nieście! Koniecznie na siódme! Na ministerskie piętro! Mam całe życie na piętrze naczelników wydziałów przesiadywać?

W ślad za tymi wizjami, nagle, całkiem nieoczekiwanie, zjawił się Machachoryn i to w bardzo komicznym wydaniu. Dyrektor fabryki w Sofrino odkurzał jego generalski mundur łabędzimi piórami. W pewnej chwili zdjął nawet but z lewej nogi naczelnika, potem skarpetkę, i wilgotną serwetką zaczął przecierać mu stopę. Ale tak starannie i delikatnie, że usługa Siemiona Siemionowicza bardzo się generałowi spodobała. Nawet pomyślał: - Niech teraz u mnie pracuje, zadba o moje ciało i wygląd, no? Surowy jestem, ale sprawiedliwy. Nie ma co chłopca bez pracy zostawiać. Zdjąłem go z fabryczki, zajmował się czarnymi interesami, niech teraz zajmie się czymś bardziej odpowiedzialnym. Dla porządku czasem pokrzywić na niego będzie trzeba, żeby na moje biurko więcej nigdy nie spojrzął. On, moczarny wyższej gildii, teraz zrozumiał, co znaczy z generałem Dulczykowem rywalizować!

- Machachoryn, ty duszo nieczysta! – krzyknął ponownie naczelnik. - Czyść mi buty tak, żeby jak lustro błyszcząły!

Najwyraźniej usłyszawszy krzyk, do gabinetu weszła Lubasza Popyszewa.

- Co się stało, Arkadiju Lwowiczu? – jej głos brzmiał spokojnie, bez cienia niepokoju. Dopiero wtedy naczelnik wrócił ze swej wędrówki za ocean, pożegnawszy się z Machachorynem, i znowu znalazł się w swoim biurze.

- A co niby? Wszystko jest w porządku! – odezwał się nieco rozkojarzony. Po czym dość szybko doszedł do siebie i zapytał:

- Kto tam jeszcze w kolejce na mnie czeka?

- Elena Dmitriewna Kurakina.

- Nalej szklanek wódki i za parę minut zapraszaj damę.

- *To przyjaciółka żony Siemiwołosa z Rady Państwa. Niewysoka ranga, ale pożytek może być całkiem realny* – pomyślał urzędnik. Tu Dulczykow wypił szklanek wódki „Bolszoj” i od razu przystąpił do swoich przyjemnych obowiązków. Czy to żart jakiś losu: dostać przykrywkę gabinetu Rady Ministrów? O tym cały rosyjski biznes marzy! Po drugiej szklance rzucił się całować biurko, obejmować, całym ciałem przyciskać się do niego, szeptać czułe słowa. Sam na sam z biurkiem tracił całą wewnętrzną swobodę i niewzruszony spokój. Zachciało mu się nawet coś zaśpiewać z filmów lat sześćdziesiątych. Już szukał w głowie melodii, gdy do gabinetu dumnie wkroczyła pani Kurakina. - *Rozkoszna dama* - rozległo się w jego głowie.

Elena Dmitriewna Kurakina, w kokietyjnie rozpiętej jedwabnej bluzce, uśmiechała się miło, co podkreślało wyraz szeroko otwartych, jakby ze zdziwienia, błękitnych oczu. Pospiesznie podeszła do dębowego biurka naczelnika. Na jej pokraśniałej młodej twarzy

widać było ślad zakłopotania, którego Dulczykowi nie mógł nie zauważyć.

- Chcę pana uściskać. Za pasem Boże Narodzenie, a pan, miły Arkadiju Lwowiczu, cały dzień w pracy! Kto to słyszał? Przyjemności wielkiego świata pana nie interesują? Odrzuca pan sławę? Zatopił się pan w kobiecych pieszczotach gdzieś za kulisami publicznego moskiewskiego życia?- ciągnęła, przytuliwszy się do niego.

- Z pańskiego wspaniałego bukietu biorę białą różę - pani Kurakina eleganckim gestem wyciągnęła kwiatek z wazonu, obłamała łodyżkę i wetknęła różę w pętelkę swego ciemnozielonego żakietu. – Podoba się panu? – spytała, myśląc jednocześnie praktycznie: - *Według mnie jest pijany. Tym lepiej!*

- Tak, pięknie!

- Wiedząc, że jest pan koneserem czerwonego wina, przyniosłam skrzynkę wspaniałego piemonckiego. Czy może pan dać pozwolenie, by mój osobisty asystent wniósł skrzynkę? Jest w poczekalni.

- *Jak tylko – skonstatował generał - ochrona zaczęła wpuszczać interesantów z bułterierami, skrzynkami wina, z naręczem dyplomów, to zaczną przychodzić do ministerstwa z kochankami, referentami, ochroną, fryzjerami, wizażystami, kosztami azerbejdzańskich i gruzińskich wiktuałów... Czy my tu żyjemy w jakimś prywatnym świecie? Państwa już nie ma? Władza zniknęła, skończyła się? No, Dulczykowi, brawo, nadchodzi twoja wspaniała epoka! Twój rajski czas! Niech wnoszą wino. Akurat diabelnie chce mi się napić. W duszy świętuję zawodowy sukces: Santapukin jest mój! Moja przykrywka, mój parasol, parawan! Niech żyje pan Santapukin! Pokoju i zdrowia mu życzę! Teraz, generale, do dzieła, nie śpij!*

Arkadij Lwowicz natychmiast połączył się z sekretarką i powiedział:

- Wprowadź, Lubasza, jak najprędzej asystenta pani Kurakiny do mnie, do jadalni. No i sama tu, ehe, ehe, przychodź: trzeba odgrzać w mikrofalówce azerbejdzańskie potrawy. Otwórz parę butelek tego przyniesionego wina – rozkazał, po czym, odwróciwszy się do swego gościa, dodał:

– Eleno Dmitriewna, pani też się napije ? Dzisiejszy dzień jest dla mnie wyjątkowy! Zapraszam do stołu!

- Co takiego się dzieje, drogi panie? Jest pan katolikiem, dzisiaj już świętuje pan Boże Narodzenie?

- Nic podobnego. Nie za bardzo uznaję kalendarz chrześcijański. Ani prawosławny, ani katolicki. Świętuję dzisiaj, świętuję dzisiaj... - *Co jej powiedzieć?* – przemknęło mu przez głowę. – Świętuję dzisiaj wizytę pięknej damy. Moje serce się raduje. Dusza śpiewa, chcę się napić włoskiego wina!

- Zanim zaczniemy się bawić, może kilka słów o sprawie? Sprowadza mnie do pana straszny przypadek. Jestem przedstawicielką rosyjskiego rodu książęcego Kurakinych. Nawet mój mąż, Biełochwostow, który służy jako referent w Radzie Federacji, przyjął moje nazwisko. Teraz jestem u pana w imieniu Stowarzyszenia Dworzan.

- *Jak to, ona też stamtąd? Ilu tych dworzan w Moskwie?* – zdziwił się naczelnik. – *Wypiję jeszcze szklanekę wódki. Trzeba posłuchać, co proponuje ta miła dama. Bardzo ciekawe. Może teraz zaproponują mi tytuł hrabiego? Jak będzie brzmiało moje pełne imię ? Najjaśniejszy książę, jego wysokość hrabia, państwowy doradca trzeciego stopnia Arkadij Dulczykowi... Brzmi trochę ciężkawy, ale z duchem czasu.*

- Co pani powie na wódeczkę, Eleno Dmitriewna? Czy pozwoli pani, ehe, ehe, nalać?
- Pan chce żebym straciła głowę? Zajął pańskie biurko i po swojemu zaczęła rządzić w pana departamencie? Wódka jest dla mężczyzn – wyglupy, rozchełstanie, wylewne manifestowanie uczuć. Dla kobiety to niezwykle niebezpieczna ciecz : stajemy się agresywne, chcemy podporządkowywać sobie wszystkich dokoła. Szczególnie męską połowę. Jeżeli chce pan stać się moim niewolnikiem, to proszę, ale bez pomocy wódki. To będzie moskiewska nowina zwalająca z nóg: generał Dulczykow – niewolnik księżnej Kurakiny! Uroda Eleny Dmitriewny oszołomiła Arkadija Lwowicza! Zakochał się w niej do szaleństwa! Dlatego bezinteresownie przeprowadził śledztwo w sprawie malwersacji księcia Narycyra, jednego z przywódców moskiewskich dworzan. Jak się panu podobają takie nagłówki w prasie? Będzie pan znany i kochany przez całą żeńską część stolicy! Pięknie! Pięknie! Ale takie artykuły wzbudzą zawiść u wielu stołecznych asów. Co pan na to? Generał milczał. Alkohol zaczynał mącić mu świadomość. Patrzył w błękitne oczy Eleny Kurakiny i jego myśli poszły w zadziwiającym kierunku: - *Rosyjskie kobiety to taka delikatna materia, że aż dziw. Proszę, jak tematem zakreśliła, żeby sens prośby wyłożyć. Niby artykuły. Sprytnie. Bardzo sprytnie! Może dlatego w Rosji taka anarchia wszędzie, że wśród biurokratów i we władzy kobiet jak na lekarstwo? No? Tam, dama z Niechociejewki, inna – z nad Morza Japońskiego, trzecia - maleńka rządowa myszka. Kto jeszcze? Nie ma! Basta! Wszystko! W Rosji jest sto pięćdziesiąt milionów obywateli, a tylko dwie i pół kobiety w polityce. Oto dlaczego dzisiaj mam taki rajski dzień! Jako biurokrata zostałem królem życia. A z kobietą nie tak łatwo. Spróbuj przechytryć Kurakinę, no? Nie uda się – ani po pijanemu, ani po trzeźwemu. Nawet dla biurokraty to niełatwe. W rosyjskich więzieniach siedzi około miliona aresztantów. Ile wśród nich kobiet? Trzy procent! A w Radze Federacji? Około dwóch procent. W Dumie Państwowej – nie więcej niż sześć! Oto arytmetyka wspaniałości męskiego życia. Dopóki kobiety nie przejęły władzy, można prowadzić interesy, no?*
- Tu Arkadij Lwowicz napił się znowu: jego urzędnicza dusza zapragnęła świętować.
- Więc chce pan wysłuchać, co mnie do pana sprowadza? – z uśmiechem, ale stanowczo spytała Elena Dmitriewna.
- Wiem wszystko, napijmy się lepiej, ehe, ehe. Stół już nakryty. Mam ochotę na szklanekę włoskiego wina!
- Co pan wie?
- Pani chce prosić mnie w sprawie Baszmakowa? Pragnie, żeby nasz wydział wszczął dochodzenie w sprawie dzierżawy biura Stowarzyszenia Dworzan i postawił Narycyra w stan oskarżenia. Czyż nie tak?
- Pora do stołu. Zobaczmy czym stołeczni generałowie podejmują damy! – zawołała na to Kurakina, w duchu zaś pomyślała: - *Skąd on wie, z czym przyszedł? Czyżby ktoś doniósł? Narycyra ma swoich szpiegów!*
- W tej chwili do gabinetu weszła Lubasza Popyszewa. Podeszła do Dulczykowa i szepnęła mu na ucho:
- Pan Machachoryn bardzo prosi. Już trzeci raz dzwoni. Co mam powiedzieć?
- Sam z nim porozmawiam – odpowiedział naczelnik, biorąc do ręki słuchawkę. - Witaj Siemionie Siemionowiczu. Co tam? Kontrolę do pana wysłano? Dwudziestu ludzi? No, co pan powie, ehe, ehe? Nic mi nie wiadomo! Pomóc? Przez telefon tego nie rozwiążemy,

koniecznie musimy się spotkać. Jutro rano? Nie! W żadnym razie. Nie mam jeszcze wiadomości od Brydczykowej. Trzeba najpierw jedną sprawę załatwić, potem za drugą się brać. Co? Pan jest już na Siwieckim Jarze? Dobrze, ehe, ehe, jeżeli Brydczykowa zadzwoni, to jutro czekam na pana. A jeżeli nie, to spotkamy się innym razem. Dobrze, ehe, ehe, dobrze, to czekam! Proszę się nie denerwować, dzisiaj każdą sprawę da się załatwić. Oczywiście, swego biurka sam Bóg kazał strzec! Żegnam!

A w duchu pomyślał: - Zląkł się, cały jest roztrzęsiony. No i dobrze, niech wie, żeby po własność generała Dulczykowa nie sięgać! Szykuj, panie Machachoryn, pół miliona! No, może jeszcze ćwierć! Kiedy atakuję, stawki rosną. Dzisiaj to już drugie zwycięstwo! Dla tej Kurakiny gotów jestem zrobić wszystko. Przy niej dwa najważniejsze telefony odebrałem. Ale oczywiście nie bezpłatnie.

- Pić! Chcę wina! – rzucił wzburzony. – Proszę do stołu!

Kurakina i Dulczykow przeszli do jadalni.

- Teraz rozumiem, dlaczego pan tyle czasu w pracy spędza. Sporo przyjemności, a to drogo kosztuje. Proszę, jak panu oczy błyszczą. Jakie czoło spocone! Jaki uśmiech na twarzy. Czyżby miał pan dla mnie prezent? Narycyn już załatwiony? Jego kroki odmierzają celę „Ciszy morskiej”? A pan został hrabią? Hrabia Dulczykow? Czy tak?

Arkadij Lwowicz podniósł kielich czerwonego wina:

- Wypijmy, wielmożna pani. Wiedziałem, że hrabiowski tytuł mi pani proponuje. Chciałbym zauważyć, ehe, ehe, że nie mam nic przeciwko temu. Wypijmy za hrabiego Dulczykowa!

- Za hrabiego Dulczykowa! – skwapliwie podtrzymała Elena Dmitriewna. – Tak! Za pana, dobry z pana człowiek! – dodała, w duchu myśląc: - *Co by jeszcze od niego wyprosić? Pieniądzy, czy co innego, za tytuł hrabiowski? Wszyscy płacą, czemu by generała nie oskubać?*

– Arkadiju Lwowiczu! Doskonale panu wiadomo, że członkowie Stowarzyszenia Dworzan to póki co ludzie niebogaci. A wydatków mamy masę. To jedno trzeba zrobić, to drugie. Czy można liczyć, że nowo mianowany hrabia, znany w stolicy generał, obejmie nasze arystokratyczne towarzystwo sponsorskim wsparciem? Tu nie trzeba żadnych kwot nie z tej ziemi. Dwadzieścia tysięcy dolarów, czy tam dwadzieścia pięć. Jak pan się na to zapatruje?

- Niech pani mi nie psuje świętowania, ehe, ehe, po co teraz mówić o drobiazgach? Chcę się napić. Dzisiaj jest mój wielki dzień!

A przez głowę mu przemknęło: - *Znalazła frajera na dwadzieścia pięć tysięcy zielonych. Aresztuj jej Narycyna, a jeszcze pieniądze ogromne zapłać. Potrzebny mi twój tytuł, kobieto! Ale Santapukin mi potrzebny! Santapukin – mój! Za niego bym każde pieniądze dał. A co mi przy tym twój hrabia? Tfu!*

Do jadalni wbiegła Lubow Popyszewa. Podeszła do pana Dulczykowa i szeptem na ucho powiedziała:

- Dzwoniła Brydczykowa. Prosiła natychmiast przekazać, że wszystko OK.

- *Za nowy sukces, Dulczykow! Brawo! Świetna robota. Pomyśleć, że z takich prozaicznych radości składa się codzienna praca rosyjskiego biurokraty* – pomyślał z samozadowoleniem Arkadij Lwowicz. – Ten dyrektorzyzna dopiero zaczął przynosić pieniądze. Ale będzie się jeszcze musiał nachodzić z paczkami do kasy banku „Rubin”, o tak! Popamięta, z kim zaczął!

- Idź Lubasza. Na razie! Nie ma mnie dla nikogo. Wymyślaj, ehe, ehe, co chcesz: zebranie, delegację, wizytę u zwierzchników.

- Proszę się częstować wschodnimi potrawami, księżno - kontynuował biesiadę z Elena Kurakiną. – Dzisiaj jestem wyłącznie do pani dyspozycji. Dzień był trudny, ale udany. Pani wizyta była jego kulminacją. Brawo, Eleno Dmitriewna! – naczelnik podszedł do niej, dotknął kieliszkiem jej ślicznego noska i wypił.

- Wspaniałe Barollo od Gai. Ciemny rubin – ulubiony kolor mojego wolnego czasu. A lekki smak czarnej porzeczeki, przebijający w bukietcie cierpkiego aromatu winogron oraz miękki, harmonijny posmak taniny, wywołują we mnie uczucie rozkoszy. Dziękuję, madame! Wspaniałe wino mi pani sprezentowała. Jeszcze parę lampek i osiągnę pełny duchowy błogostan!

Tu należy koniecznie zauważyć: im bardziej był pijany, tym bardziej generał stawał się rozmowny, jego słownictwo zmieniało się na nieco bardziej akademickie, jakby alkohol rozpałał w nim iskrę talentu oratorskiego, a kaszel mijał mu całkowicie. Przy czym, tej osobliwości, wpływu napojów alkoholowych nie można odnieść wyłącznie do Dulczykowa. Jest ona bowiem charakterystyczna dla większości rosyjskiego społeczeństwa: alkohol wzmaga aktywność i krasomówstwo.

- Wielu moich znajomych - ciągnął Arkadij Lwowicz - w kontakcie z kobietami, oczywiście, jeśli na stole jest dość wina, obowiązkowo zaczyna deklamować wiersze. Dokładnie tak, wiersze! I to tak dźwięcznym głosem, że zapominają, iż obok nich jest istota, która oczekuje nie tylko poetycznych strof. A mnie pociąga inna muza. Gdy wypiję, w mój umysł uparcie, czasem bezpardonowo, wciskają się paragrafy kodeksu leśnego. I to nie tylko na chwilę jakiś urywek pojawi się, by natychmiast dać mi o sobie zapomnieć, ale wprost przeciwnie: całym strumieniem płyną z moich ust – tu Dulczykow znowu nalał sobie lampkę wina, wypił i ciągnął dalej:

- Skąd to niby? Nie raz zdawałem sobie to pytanie. Ale odpowiedzi nigdy od nikogo nie otrzymałem. Uczyłem się co prawda w Akademii Leśnej, ale jej nie ukończyłem, bo poszedłem do floty. I co więcej, paragrafy te pamiętam nie z podręczników czasów studenckich, a z książek nieznanego mi pochodzenia. Przecież nigdy się tego nie nauczyłem! No, nie mam co do tego całkowitej pewności, ale tak mi się wydaje. I tak na przykład, przed chwilą, kiedy wcale o leśnych sprawach nie myślałem, nagle, w jednej dosłownie sekundzie, przyszło mi do głowy: „O sprzedaży, tylko dla miejscowej ludności, według potrzeb bytowych, do własnego użytku, zamiast publikacji, zaleca się obwieszczenie poprzez miejscowe władze i milicję, nie później niż na tydzień przed sprzedażą, zgodnie z zasadami wyznaczonymi w tym przedmiocie przez ministerstwo”. No i jak to wytłumaczyć? – znowu nalał sobie wina i ciągnął:

– Albo to: „Kary, ustanowione w Kodeksie Karnym i w Ustawie Karnej, a także w poniższym rozporządzeniu w artykułach 841-848, za samowolny wyręb, podpalenie lasu i inne szkody w nim wyrządzone, a także nieprzestrzeganie zasad ochrony przeciwpożarowej w lasach, rozszerza się również na te lasy na Syberii, których wolny wyręb jest zabroniony”. No i skąd to u mnie? Takie bzdury mi przychodzą, Eleno Dmitriewna, do głowy. Cieszyć by mi się po prostu – tyle zdarzeń wokół, nowe projekty, wyzwania, dopiero co Dumę wybrano, ale muszę tymczasem wino brać do ust, skoro ustawy leśne królują w mojej świadomości. A wino kocham. Jak mam żyć bez niego? Albo to...

- Czy w pańskim biurze kobietom zabrania się mówić? Choć słowo, Arkadiuszu Lwowiczu, proszę mi o mojej sprawie pozwolić... Do pana nie tak łatwo się dostać. Dlatego proszę, żeby zechciał mnie pan wysłuchać.

- Wiem doskonale, jakie problemy sprowadziły panią do mnie. Pani chce wsadzić za kratki Narycyna, żeby ocalić jedność Stowarzyszenia Dworzan, a potem wybrać na jego przewodniczącego pana Baszmałowa. Czy nie tak? Oczywiście! A tak na marginesie, pani hrabiowski tytuł za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów do niczego mi nie potrzebny – naczelnik nalał sobie wina i ciągnął:

- Skąd takie pieniądze u skromnego urzędnika? On mi i za sto dolarów nie jest potrzebny. Też mi hrabia! Jestem państwowym doradcą, generałem, i swoim tytułem nie handluję. Pamiętam, parę tygodni temu zwrócił się do mnie pewien znajomy handlowiec. Niepozorny człowiek, ale bogaty. Mówi do mnie: zaadoptuj mojego Stiopekę! Co on ma za pochodzenie: syn drobnego straganiarza – a straganów mój przyjaciel ma w całej Moskwie ponad tysiąc – i nazwisko bezsensowne – Łoszkomojew. No i sądzony był, ten mój znajomy, za podróbkę markowych towarów. A tak będzie synem zasłużonego generała, latoroślą doradcy państwowego, i nazwisko – do mnie mówi - pan ma dzwiczne: Dulczykow. Gotów jestem podpisać z panem kontrakt, mówi, że biorę na siebie dożywotnio wszystkie pańskie wydatki na życie, ubranie, opłaty za mieszkanie. Oto jaką propozycję mi złożył! A ja nawet palcem nie kiwnąłem. Co mi tam przy tym hrabia? Przyszedł mi do głowy mój ulubiony tekst...

- Pozwoli pan wtrącić: jest wielu chętnych, gotowych pięćdziesiąt tysięcy za tytuł zapłacić! Była także pewna dama, której sponsor za tytuł księżnej sto tysięcy dolarów proponował. Co w tym złego, skoro Stowarzyszenie Dworzan zgodziło się dać panu tak dużą zniżkę? Nawet wielu urzędników płaci całą kwotę. Pamiętam, jak zastępcy ministra Driazgina i Szapkinowi z moskiewskiego magistratu w sali kolumnowej tytuł wręczano. Proszę mi wierzyć, wielu w kolejce czeka.

- Generałowie podejrzanego sponsorowania nie potrzebują. Prosiłem już panią, zostawmy te tematy. Eleno Dmitriewno, pani mało pije. Boi się mnie pani? Tak, kobiety zawsze wszystkiego się boją. Niby co może się zdarzyć? Zaproponuję pani taniec erotyczny? Nie! Proszę pić, księżno Kurakina! Niech pani się duszą całą przyłączy do mojego skromnego świętowania. Wino uczyni panią wolną od przesądów, podpowie właściwy sposób działania w kontakcie z generałem. Prędko! Proszę podnieść kielich. Pijemy za triumf władzy w Rosji – naczelnik nie czekał na Kurakinę i wypił jednym haustem.

- Już jest pijany. Co będzie dalej, po jeszcze dwóch, trzech kieliszkach? Trzeba uciekać. Jaki sens zadawać się z pijanym urzędnikiem? – pomyślała Kurakina, po czym przykryła jedwabną bluzeczką półnagie piersi i powiedziała:

- Słaby ze mnie kompan w picciu. I już muszę iść. Jak zrozumiałam: spełni pan moją prośbę?

- Gdy piękna kobieta prosi, zawsze wychodzę naprzeciw – zapewnił Dulczykow, a sam do siebie powiedział w myślach: - *Nic nie zrobię. Idź sobie, grubianko niewychowana! Ode mnie łapówki chciała. Od generała – dwadzieścia pięć tysięcy dolarów!*

- Więc idę. Mam nadzieję, że piemonckie wino dostarczy panu przyjemności.

- Na razie! Wyjście jest tu.

Pani Kurakina wyszła z jadalni. Była niezadowolona i pełna obaw. - *Ten Dulczykow, to albo*

ostatni cham albo kompletny pijak. Za wino nawet nie podziękował.

Wreszcie naczelnik został sam. Przygasił ostre światło, usiadł za stołem, nalał sobie wina i zaczął przeżuwać jakiś kawałek mięsa, rozmyślając. - Dzięki Bogu, kończy się kolejny roboczy dzień. Jak mówią, można zrobić bilans. Dzisiaj zarobiłem przykrywkę Santapukina! To była największa zdobycz 2003 roku. Prawdziwy noworoczny prezent z góry! Ćwierć miliona dolarów już w „Rubinie”. Niewiele, ale nieźle! Wręcz świetnie! Jutro Machachoryna znowu do banku zawłokę. Zmuszę tego złodzieja wyższej gildii jeszcze tyle samo zapłacić. Prawdą, moja dola będzie w tym nieznaczną. Tylko jedna czwarta. Ale i to nieźle! Wadbolski obiecał, że od Stowarzyszenia Dworzan dostanę certyfikat na koleję, że należała do rodziny carskiej. Też przyszłościowa sprawa. Za ten dokument gubernatora na parę milionów nakręcę. A Mamiedow? Śmieszny człowiek, ale też pożytek z niego będzie! Kuziakina za to zuch! Obiecał wzmocnić moją przykrywkę, zalać ją lakiem, żeby żadna kanalia na moje biurko się nie łąszczyła. Ten jego Żaspupin to wpływowa persona w urzędzie. A to, że on „taki”, nie moja sprawa. Guś, Treszczałow, Kleszczewcew – nad nimi trzeba jeszcze popracować. A Siemieniura też przy forsie. To chłopak z głową. Rano muszę zapytać, ile ma dla mnie. Jedyne nieporozumienie to Kurakina. Co na niej można skorzystać? Ambicje wielkie, a jak się przyjrzyysz – zero! Głupia i pusta. Ale nie spiesz się, Dulczykow, jeszcze nikogo przecież nie spotkałeś, żeby nie mieć z tego korzyści. Na jutro siedem osób zapisanych. Musisz być w formie!

Napił się jeszcze wina, znowu napełnił kieliszek, ugryzł nieduży kawałek skurczonego zimnego szaszłyka i zakąsił jakąś południową zieleniną. Powieki zaczęły mu ciężać, w końcu opadły. W ustach został niepogryziony kawałek mięsa, a w głowie – niedokończone rozmyślenia. Ciało zwiotczało, nosem utknął w talerzu z resztkami i... Dulczykow zaczął pochrapywać. Razem z ciężkim przeciągłym chrapnięciem z jego ust zaczęły wypadać pozostałości azerbejdzańskich delikatesów. To nie żarty, wypić trzysta gramów wódki i butelkę „Barollo” od Gai – czternastoprocentowego czerwonego wina.

Mitka Kondriuszkin wniósł do gabinetu naczelnika grubą jak pięść linę. Jednym jej końcem obwiązał kaloryfer, a drugi zwinął i położył na parapecie. Potem zaczął przybijać do sufitu wyciąg, przymocował linę do dwóch nóg biurka, przerzucił ją przez kółko bloczku, a koniec zostawił na biurku. Kondriuszkin pracował w milczeniu, ze znanstwem i w dobrym stanie ducha. Zakończywszy pierwszy etap zadania, które mu zlecił szef, Mitka wyciągnął z torby niewielką butelkę z nieznaną cieczą, wylał ją na podłogę i na samym brzegu biura, prawie pod drzwiami, zapalił zapałkę i rzucił na mokrą plamę. Najpierw z ciekawością, a potem z narastającą wewnętrzną radością patrzył, jak błękitne płomienie zmieniają się w żółte. Gdy biuro wypełniło się dymem, wyciągnął z kieszeni rachunki za zakupy, zamówione przez gospodarza, niespiesznie rzucił je w ogień i z całym swoim bagażem niepostrzeżenie opuścił pomieszczenie przez tajne wyjście.

Arkadij Lwowicz poczuł gryzący zapach. Chciał zakryć nos płócienną serwetką, wyciągnął po nią rękę, ale natknął się na talerzyk z pachlawą. - *Słodka, a tak nieznośnie pachnie* – pomyślał. Podsunął bliżej wschodnią potrawę, żeby ugryźć ociekające miodem ciastko, ale najpierw postanowił napić się wina. Tu mu do głowy znowu przyszedł tekst z kodeksu

leśnego: „Oprócz lasów państwowych i chłopskich, w guberniach syberyjskich znajdują się także lasy przynależące do różnych fabryk i zakładów”. Dulczykowi uśmiechnął się: - *No, co to takiego, no? Może przecucie jakiejś? Czeka mnie biurko w Departamencie Ochrony Zasobów Naturalnych i Środowiska? A co? Tam też nie nudno! Ale skąd zapach dymu? Czyżby poruczone mi lasy już płonęły? Torfowiska się zajęły ogniem? Pora dzwonić do Kleszczywcewów: starszy niech decyzje wysyła, a młodszy – gaszeniem dowodzi. Co jest? Czyżby Mitka już czerwonego kura podrzucił, moje polecenie wykonał? Wtedy natychmiast trzeba uderzać z głową. Biurko ratować. No bo jakże bez biurka? Nijak się nie da!*

Arkadij Lwowicz rzucił się do gabinetu. Część pomieszczenia była już w ogniu i dymie. Dopiero wtedy naczelnik naprawdę się przestraszył. Dосkoczył do biurka, z pomocą bloczka prędko podniósł je na wysokość parapetu i nagle dostrzegł w biurku Duškę.

- No, co będziemy robić? – niespodziewanie zapytała.

Arkadij Lwowicz zaczął całować ją całą, namiętnie, z miłością.

- Duśka! - szeptał generał. - Nie pozwolę, żeby ogień twoje nogi lizał. Ty przecież cała jesteś moja! Razem spłonimy, albo razem przeżyjemy.

- Nie zamierzam spłonąć! – głos Duški brzmiał chłodno i kategorycznie. - Sam wszystko namotałeś, to i sam się wyplątuj.

Generał pospiesznie otworzył okno na Marosiejkę, wyciągnął biurko na parapet, wrzucił na nie swój skórzany fotel, pociągnął za linę i zaczął opuszczać – ale tu spostrzegł, jak z balkonu na trzecim piętrze młodszy Kleszczewcew, w mundurze majora, macha do niego i wrzeszczy:

- Za uratowanie chcę sto tysięcy dolarów! Płać gotówką albo spłon w ogniu Sądu Ostatecznego!

- Za co?! – wyszeptał osłupiały Dulczykowi. Po czym dodał głośniej:

– Ja ci majora załatwiłem!

A w duchu pomyślał: - Ja tu z Dušką zawisłem. Nie spuszcza się. Utknęliśmy! Ale jak przeżyję i biurko uratuję, to ten strażacki wyskrobek już nie będzie miał czego szukać w moim wydziale. W całym ministerstwie nie będzie dla niego miejsca, co tam - w Moskwie całej!

- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr - nie dawał za wygraną Kleszczewcew. - Wykładaj zielone! Chcę żyć pełnią życia! Do polityki się dostać. Karierę muszę budować! Co mi tam jutro? Przyszłość? To dla was, dla durniów!

Tu Dulczykowi zauważył, jak ogień dochodzi do liny. - *Zapłać mu, zapłać!* – natrętnie podpowiadał wewnętrzny głos. – *Na tamtym świecie pieniędzy nie potrzeba! Życ musisz!*

- Zapłać natychmiast! – jakby odgadując generalskie wahania wrzasnęła Duśka.

Dulczykowi ostrożnie zszedł z fotela na biurko, otworzył szufladę, wyciągnął z niej sto tysięcy dolarów i rzucił na balkon w twarz Kleszczewcewa.

- No, opuszczaj prędzej! Ogień prawie pod nosem! – zachrypiał generał.

- Naucz się płacić! – roześmiał się młody człowiek i dał ręką tajny znak.

Jakaś czarodziejska siła zaczęła opuszczać na chodnik biurko, fotel i Dulczykowi z uważną starannością VIP-serwisu. Generałowi wydało się nawet, że opuszcza się nie na biurku, a w objęciach z Dušką. I w dodatku wcale nie tak zwyczajnie w objęciach, ale w absolutnie niedwuznacznej pozycji. Że jego usta dotykają jej ciała i zaraz za chwilę nastąpi orgazm.

Ta słodka chwila zastała go na ulicy. Powoli, nawet nieco leniwie, zszedł z biurka, zdjął z

niego fotel i zajął swoje służbowe miejsce. Wiele osób zapisanych do niego już ustawiało się w kolejce. Wydawało się, jakby całą Marosiejkę wypełniał tłum spieszący do naczelnika Dulczykowa. Ich twarze były skupione. Jedni interesanci nieśli torby, inni teczki, ktoś ze skrzynką, inny z paczką, ze szkatułką, z walizką, z workiem. - *Dochodowy dzień się zapowiada* - pomyślał urzędnik. - *Dzisiaj trzeba koniecznie podnieść stawki. O piętnaście, nie, o dwadzieścia procent! Płacisz – sprawa załatwiona, odmawiasz – czekam, póki nie zmądrzejesz. Problemy łatwo się rozwiązuje. Żadnych nacisków.*

Ale tu zdarzyło się coś nieoczekiwanego: do urzędnika podeszła znana osoba z Rady Federacji. W ślad za nią pojawili się robotnicy w kombinezonach przedsiębiorstwa „Mer-stroj”, ogradzając senatora i urzędnika parawanem z ciężkiego sukna. Dulczykow chciał zadzwonić z przyzwyczajenia po Lubkę Popyszewą, żeby przyniosła herbatę dla dostojnego gościa, ale wtedy przypomniał sobie, że na Marosiejce sekretarka mu w ogóle nie jest potrzebna, poza tym najpewniej zginęła w ogniu.

W międzyczasie senator zwrócił się do naczelnika:

- Pozwoli pan otworzyć na Starym Placu sklep z myszami i innymi gryzoniami? Ten biznes jest niezwykle na czasie w przededniu przyszłych wyborów.

- Proszę wybaczyć, ehe, ehe, nie do końca zrozumiałem. Jaki jest związek między jednym z ważniejszych wydarzeń politycznych w naszej ojczyźnie a wszelkim kosmopolitycznym paskudztwem? – szczerze zdziwił się Dulczykow.

- Pan, generale, bywał w sklepie zoologicznym?

- Kiedyś, bardzo dawno. A co?

- Elitarni przestępcy posługują się gryzoniami, a tych w stolicy jest bez liku. Dosłownie paradują po naszych ulicach. Proszę, ile ich choćby na Marosiejce! Dotarło? – senator z niezadowolaniem spojrzął na naczelnika.

Czy to Arkadij Lwowicz zamyślił się o Duśce, czy też pomyślał o długiej kolejce czekających, by się do niej dostać tu, na ulicy, w każdym razie nic nie zrozumiał. Tym nie mniej, by nie urazić dostojnej osoby, powiedział:

- Tak! Ja pana, ehe, ehe, zrozumiałem!

A w duchu próbował sobie przypomnieć, o czym senator z nim rozmawiał.

- Biznes można urządzić świetny: moja grupa łapie szczury, a wasza sprzedaje Pragatowowi.

- A kim jest Pragatow?

- To menadżer wyszukanych technologii, jest treserem żmij i ptaków drapieżnych. A dusiecie, orły i szakale są lokomotywą każdej kampanii wyborczej. Zgódź się, Arkadiju Lwowiczu, przyjacielu, a zasłużysz sobie na niejedną gwiazdkę!

- Twoja gwiazdka nam do niczego, polujemy na inne skarby – fuknęła Duśka.

- Pan coś powiedział? – zaciekawił się senator.

- Nie, nie, pan się, ehe, ehe, przesłyszał - pospiesznie odparł urzędnik. – Myślę o pana kuszącej propozycji.

Gdy tylko znana osoba z Rady Federacji pożegnała się z Dulczykowem, parawan z grubej tkaniny natychmiast zniknął. Arkadij Lwowicz spostrzegł, że cała Marosiejka zastawiona jest samochodami strażackimi i nie wiadomo skąd wziął się tuż przed nim Kleszczewcew starszy, kierując na generała wylot strażackiego węża. - *Co on, zwariował?* – zapytał siebie

w duchu Arkadij Lwowicz, po czym wykrzyknął w pełnym przerażeniu:
- Przecież to jestem ja!

Lubasz Popyszewa co chwilę odpowiadała na telefony. Wszyscy pytali o Arkadija Lwowicza. Jednym mówiła, że jest na zebraniu, drugim – że naczelnik jest w delegacji, trzecim, że Dulczyk jest na Kremlu i odbiera nagrodę; że pracuje w komisji sprawdzającej kombinat miedziowy; że występuje w radiu. Że jest u niego grupa dziennikarzy, poszedł do ministra, jest u gubernatora albo na radzie ekspertów. Sekretarka Popyszewa rozmawiała ze wszystkimi dość obojętnie, bez cienia zainteresowania. Lubeczce z Gdowa było wszystko jedno, ponieważ absolutnie jednakowo odnosiła się do siebie i otoczenia. Od dawno już w jej głowie królowała jedna myśl:- *No i dobrze, a co to za różnica?* ... – która raz po raz wypływała z głębin jej podświadomości.

styczeń 2004 roku